



# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

1092  
W objętości jednego tomu.



## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



Za REDAKTORA i WYDAWCĘ:

Adwokat FELIKS DĘBSKI.

---

---

Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88,  
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

---

---

DRUK EDWARDA NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA  
DZIEŁ WYBOROWYCH.

No 459.

Kazimierz Rakowski.

BIBLIOTEKA  
LITERATÓW  
DZIENNIKARZY POL.

~~1204~~

1099

# DWA PAMIĘTNIKI

z 1848 roku.

Cena 40 kop.

W prenum. 30 1/2 kop.

WARSZAWA  
Redakcja i Admin.  
14. Dłazka 14.

<http://rcin.org.pl>  
1906.





DWA PAMIĘTNIKI Z 48 ROKU.



1092

Kazimierz Rakowski.



# Dwa pamiętniki

z 48 roku.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA  
DRUK ED. NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70  
1906



896

# ***PAMIĘTNIK J. ŁUKOMSKIEGO***

oficera poznańskiego wojska polskiego.



Autorem niniejszego pamiętnika, jest nieżyjący już dzisiaj Józef Łukomski, były nauczyciel z Sulmierzyc w Ks. Poznańskim, oficer poznańskiego wojska polskiego w roku 1848.

Józef Łukomski urodził się w r. 1826, miał więc zaledwie 22 lat, gdy wybuchło powstanie w r. 1848 w Poznańskim. Porzucając bez namysłu spokojny i pewny chleb rządowego nauczyciela, Łukomski wstąpił jako jeden z pierwszych do oddziału wojska narodowego, formującego się w Sulmierzycach, brał udział w bitwach pod Raszkowem, Miłosławiem i Sokołowem, służąc jako prosty ochotnik, potem jako sierżant w oddziale strzelców Kuszla. Na polu bitwy otrzymał nominację na oficera i do ostatniej chwili wytrwał na tem stanowisku. Pod Sokołowem otrzymał postrzał w nogę.

Józef Łukomski zmarł dnia 3 marca 1900 r. jako pełnomocnik XX. Czartoryskich na Sieleu (w Ks. Poznańskim).

Był to człowiek skromny, cichej pracy a niezłomnej energii, człowiek, który w twardych życia kolejach nigdy nie upadł na duchu. A jak sam o sobie nie wątpił, tak też nie zwątpił nigdy o swem społeczeństwie, choć widział, jak się oddala od ideałów, które w sercu swem nosił do końca życia.

Wierzył w odrodzenie ducha narodowego i doczekał się pierwszych jego objawów.

Pamiętnik jego jest bezpretensjonalnem, lecz wiernem opowiadaniem tego, co widział i w czem brał udział. Nie podając nic po nad to, co sam widział i o czem mógł wiedzieć, jako skromny sierżant wojska narodowego, nadał Łukomski tem właśnie swemu pamiętnikowi cechę niezwyklej żywości i prawdy.

Wydając pamiętnik, uważałem za konieczne zaopatrzyć go w uwagi ogólniejszej treści, bez których czytelnik nie mógłby się zorientować w przebiegu wypadków.

\* \* \*

Są epoki w życiu narodów, o których twierdzić można śmiało, że każdy naród przejść przez nie musi, zanim się wydostanie na utarty szlak normalnego rozwoju politycznego.

Takim rokiem burzy, przewrotów, chaosu, — był dla nas i Rosyi rok 1905. — Zachodnia Europa zaś przebywała tę fazę wcześniej. Dla niej rok ten nosi nazwę roku 48-go.

Rozwój wypadków tej epoki łączy się ściśle z wybuchem rewolucyi w Paryżu. Wybuch rewolucyi paryskiej był pierwszą skrajnością, która zapaliła wybuchowy materiał, nagromadzony we wszystkich państwach Zachodu. W ciągu kilku tygodni pożar ogarnął całą Zachodnią Europę; okazało się, że era Metternichowskiej reakcyi nie zdołała zdusić fermentu socyalnego.

Ruch rewolucyjny 48 roku miał cechę ruchu socyalnego. Jednakowoż w myśl specjalnych warunków, w których znajdowała się Polska, na obszarze ziem polskich ruch ten przybrał cechę ruchu, zmierzającego ku wyzwoleniu politycznemu.

W grę tu wchodziło przedewszystkiem Ks. Poznańskie, gdyż Galicya, wyczerpana strasznymi wypadkami 1848 roku, do apelu stanąć nie mogła, a tem mniej Królestwo, które wtedy przeżywało okres najreakcyjniejszych rządów epoki Mikołajewskiej.

A więc Poznańskie.

Pogłoski o poruszeniach w Niemczech napętniały wszystkich ciągłym oczekiwaniem, szczególnie zaś rozbudziła nadzieje wiadomość o rewolucyi w Wiedniu. Nikt jednak nie spodziewał się, aby stolica Prus, ów lojalny Berlin, miał odwagę zdobyć się na coś podobnego, aby w łonie swoim posiadał materyał do rewolucyi. Wybuchła ona w Berlinie niespodzianie a gwałtownie, jak piorun z pogodnego nieba i, po 36 godzinach krwawej na ulicach walki, stała się panią stolicy.

W całych Niemczech głoszone wolność i braterstwo ludów.

Wybuch rewolucyi w Berlinie, cofanie się rządu na całej linii—były hasłem dla Księstwa Poznańskiego. Wiadomość o wypadkach berlińskich przebiegła błyskawicznie wszystkie warstwy społeczeństwa i zelektryzowała je. Teraz — albo nigdy! Teraz czas działać, aby rząd zmusić do spełnienia przyrzeczeń, danych ludności polskiej—albo dobrowolnie zrzec się chyba odrębności i praw narodo-

wych. Taką była myśl, która przenikała wszystkie umysły.

Na wezwanie na pręde zorganizowanego komitetu zebrał się lud tłumnie przed Bazarem w Poznaniu, aby oświadczyć, że Księstwo Poznańskie do związku Rzeszy niemieckiej wstąpić nie chce. Wybrano przez akłamację komitet narodowy, a następnie odczytano zebranemu ludowi projekt petycji do króla. Przyjęto projekt przez akłamację. Komitet wydał tegoż samego dnia, t. j. 20 marca, odezwę, nawołując do utrzymania porządku i spokoju, do unikania rozlewu krwi, obiecując drogą pokojową odzyskać wolność Ojczyzny. Wybrano wreszcie deputację, której polecono udać się do króla i oświadczyć mu, że Księstwo po wecieleniu do Prus Rzeszy niemieckiej chce samoistny byt polityczny zachować.

Z tą instrukcją udała się deputacja do Berlina. Przewodniczył jej arcybiskup, ksiądz Przyłuski.

Niebawem nadeszła z kancelaryi królewskiej odpowiedź przychylna, w myśl której reorganizacja Księstwa, oparta na zasadzie równouprawnienia narodowości polskiej, miała być niezwłocznie przeprowadzona. Projekty Polaków co do obieralności urzędników, a zwłaszcza co do utworzenia wojska narodowego, wydawały się blizkie urzeczywistnienia.

Dnia 22 marca nadeszła wieść, że pod naciskiem Berlińczyków król pruski rozkazał uwolnić polskich więźniów stanu. Wiadomość ta podziałała oszalamiająco. Zdawało się, że niema żądania, któ-

regoby rządowi podyktować nie można, i któregoby rząd nie musiał być spełnić!

Jakież tu analogie nasuwają się same przy porównaniu z rokiem 1905!

I istotnie, zdawało się, że wszelkie żądania polskie niezłomnie staną się prawem.

Zażądano wycofania wojska z Poznania—i wojsko wycofano.

Komitet narodowy zajął się rozesłaniem komisarzy na prowincję, w celu zorganizowania powiatowych i miejskich komitetów lokalnych, utworzenia straży obywatelskiej i rozpowszechnienia odezwy.

Dzięki bezwładności poznańskich władz pruskich, wynikającej z niewyraźnej i niepewnej postawy władz centralnych w Berlinie, komitet centralny poznański stał się w ciągu dni kilku istotną, a jedyną i najwyższą władzą. Z całej prowincyi zwracano się do Poznania po informacje, po broń, po instrukcje.

Wszędzie przypinał lud wiejski kokardy czerwono-białe.

Gdy przyszły pierwsze rozkazy od komitetu do obywateli, wyznaczonych na organizatorów, lud prosty wszędzie był już gotów do udzielenia czynnego poparcia wykonawcom woli komitetu. Z chwilą, gdy który z obywateli dostawał nominację komitetu centralnego, legitymował się nią wobec landrata i miejscowych władz pruskich i wzywał je do posłuszeństwa rozkazom komitetu. Wielu landratów dobrowolnie i zgodnie akceptowało rozkazy, inni zaś czynny cheili stawić opór. Z pomocą

zwołanych ludzi delegat komitetu zmuszał landrata do stosowania się do rozkazu, ogłaszał, że składa go z urzędu, pieczętował kasy i ustanawiał władze tymczasowe.

W Księstwie dziś odnaleźć można w licznych domach rozmaite pamiątki z owych burzliwych czasów—i niejeden jeszcze pamiętnik spoczywa w ukryciu, oczekując ręki, któraby go wydobyła na światło dzienne.

\*

\*

\*

Łukomski zaczyna od opisu początku ruchawki w miasteczku Sulmierzycach:

„W Sulmierzycach, powiecie Odolanowskim, tuż przy granicy Śląskiej, w święto Zwiastowania N. P. Maryi, dnia 25 marca 1848 r., po niesporach, ulicą od Ostrowa zajechały dwie bryczki na rynek przed ratusz. W bryczkach siedziało kilku panów, ozdobionych kokardami o kolorach narodowych polskich. Byli to panowie: dziedzic Lewkowa, pan Wojciech Lipski; kapitan wojsk Napoleońskich, pan Murzynowski; kapitan Franciszek Parczewski i kapitan Wyganowski. Wyprosiwszy u burmistrza miejski bęben i dobosza, kazali zwołać mieszkańców miasta. Po chwili rozległ się ochryply głos tarabannu, zwołując ciekawych na rynek.

„Od paru dni obiegającymi najrozmaitszemi wieściami rozciekawiona publiczność, zdążyła ze wszystkich stron gromadnie, aby się o nowych wieściach dowiedzieć. Pan Lipski oznajmił, co się ostatnimi dniami stało w Berlinie, o uwolnieniu naszych więźniów stanu, o braterstwie ludu berlińskiego i Niemców z Polakami, o zawiązaniu się komitetu narodowego w Poznaniu i odezwach tego komitetu. Prócz tego oznajmił, że za zezwoleniem rządu ma się zbierać i ćwiczyć wojsko polskie, by razem z Niemcami wywaleczyć niepodległość dla kraju.

„Następnie przedstawił dowódców wojskowych p. Majora Murzynowskiego i dwóch kapitanów: Parczewskiego i Wyganowskiego i wezwał ochotników, którzy gotowi siły i życie poświęcić w walce za ojczyznę, by wystąpili na front i dali się zapisać do szeregów wojska polskiego.

„Po niedługim namyśle stanęło do szeregu trzech nauczycieli miejscowych <sup>1)</sup>, a za tych przykładem jeszcze koło 50 młodych i starszych mieszkańców miasta i bliższej okolicy; zapisani zostali oni do utworzyć się mającego oddziału ochotników.

„Nazajutrz i dni następnych zwożono broń, t. j. kosy, już sprawne i nieoprawne, i z lasów drzewce do kos, brzozone, osikowe i dębowe, a we wszystkich krańcach od wczesnego rana do późnej nocy brzmiały kowadła od prostowanych i oprawianych

---

1) Łukomski, Matczyński i Pędziński.

na drzewce kos. Ochotników codziennie z różnych stron, a najwięcej z po za Proсны, przybywało, tak że do końca marca już oddział ten miał około 300 ochotników, ćwiczących się w obrotach wojskowych i robieniu bronią, na przyległych łąkach pomiędzy miastem a przedmieściem Błoniem. Prawie codziennie czytano artykuły wojenne, jak żołnierz w służbie i po za służbą zachować się powinien, dlatego też ochotnicy w szeregu, jak i w mieście i na kwaterach, wzorowo się zachowywali, nie dając powodu do skargi.

„Pomimo to różni mieszkańcy, Żydzi i Niemcy, którzy na sam widok kosa ze strachu ochłonać nie mogli, ślali do Krotoszyna rozpaczliwe wieści. Dla tego w pierwszych dniach kwietnia, podczas mustry przed południem dano nam znać, że wojsko pruskie nadeiiga od Krotoszyna przez Błonie. Zebrani w szeregi dwóch kompanii, pomaszerowaliśmy do miasta i ustawili się na południowej stronie rynku. Niebawem nadeiignęły dwie kompanie piechoty i szwadron jazdy pruskiej pod dowództwem pułkownika Bonina.

„Zajęły one wschodnią i południową stronę rynku, a konnica, jakby w rezerwie, ustawiła się w tylnej ulicy, przy stodołach od strony wsi Chwaliszewa.

„Nasi dowódcy, salutując po wojskowemu, podbiegli do pułkownika Bonina, jakby z raportem.

„Na to pułkownik Bonin nadjechał przed front naszych szeregów i odezwał się po niemiecku w następujące słowa:

*Es freut mich, dass Ihr in so kurzer Zeit auf den Ruf des Vaterlandes Euch so zahlreich versammelt halt. Uebt euch nur fleissig zu tüchtigen Soldaten — Wir werden Vereint gegen den östlichen Feind ziehen!* (Cieszy mnie, że na wezwanie Ojczyzny w tak krótkim czasie, tak licznie się zgromadziliście, ćwiczcie się tylko pilnie na dzielnych żołnierzy, a wspólnie pomaszerujemy, przeciw wschodniemu nieprzyjacielowi).

„Po tem przemówieniu zawrócił pułkownik Bonin przed front swego wojska i zakomenderował zestawienie karabinów w kozły, a jeździe kazał zsiąść z koni. Nasi zaś dowódcy zakomenderowali rozstąpienie się szeregów o 5 kroków i położenie kos i strzelb na ziemię.

„Na ten widok, jakby na komendę, otworzyły się drzwi domów Sulmierzyc i wszystko dążyło z butelkami wódki i piwa, koszami chleba i bułek, z masłem lub smalcem, z kiszkami, kiełbasami lub gotowanem albo pieczonem mięsem do żołnierzy pruskich, by serdecznie uraczyć przybyłych gości. Nasi komendanci zaś zaprosili oficerów pruskich do hotelu Kaszyńskiego na przekąskę.

„Oba wojska pomieszały się do powitania lub pogawędy, jakby zjednoczeni towarzysze i spokojnie i zgodnie ze sobą przestawały przez dłuższy czas, dopóki komendanci nie wyszli z hotelu i nie powołali swych wojsk do szeregów.

„Ustawiwszy się w swych przedtem zajętych liniach, rozpoczęło wojsko pruskie odwrót tą samą

drogą, żegnając się z nami okrzykami „hura”, na co my także gromko odpowiadaliśmy „hura”, dopóki ich z oczu nie straciliśmy, to jest dopóki w rynku nie zeszli w ulicę ku Błoniu, by powrócić do Krotoszyna.

„Te odwiedziny wojska pruskiego z przemówieniem i zachętą pułkownika Bonina podniosły nas jeszcze więcej na duchu i zagrzały do uległego i gorliwego spełniania komendy naszych przełożonych.

„Już 6-go kwietnia wymaszerował oddział nasz przez Raszków i Pleszew do Marszewa i tu pomnażany codziennie przez nowo przybywających ochotników, ćwiczył się po całych dniach w obrotach wojskowych.

„W czasie tym dochodziły nas głuche wieści o toczących się układach pomiędzy naszym komitetem narodowym i pruskim generałem Willisem, aż ułożono i postanowiono, aby z wojska polskiego zatrzymać tylko kadry, to jest małe oddziały w pewnych, oznaczonych, miejscowościach a resztę ochotników rozpuścić do domów”.

Zanim przejdziemy do dalszych części pamiętnika, w krótkości opowiedzieć tu trzeba o wypadkach, które zaszły pomiędzy 4 a 11-ym kwietnia, a o których autor pamiętnika wspomina tylko jako o „głuchych wieściach”.

Wypadki te, których wynikiem było zawarcie z Prusakami ugody, t. zw. Jarosławieckiej, ściśle są związane z pobytem generała Willisena, który przebywał w Poznaniu w charakterze nadzwyczajnego komisarza królewskiego.

Willisen wraz z mandatem otrzymał instrukcję, która nakazywała mu (drogą pokojową) doprowadzić Księstwo do pacyfikacji. Willisen przyjechał 5 kwietnia do Poznania. Pierwszym jego krokiem było nawiązanie stosunków z polskim komitetem centralnym.

Willisen przyrzeczeniami szafował i zagwarantował cofnięcie wojska pruskiego na granicę prowincyi, landwera zaś, jako z samych prawie Polaków złożona, miała być przekształcona na armię prowincjonalną polską, z polskim językiem służbowym.

Ponieważ wierzono w nieograniczone pełnomocnictwo Willisena, zdawało się zatem, że, na gruncie jego obietnic oparłszy reorganizację Księstwa, zdobyć można będzie gwarancję spokojnego narodowego rozwoju prowincyi. Willisen, zaręczając przeprowadzenie reorganizacji w duchu polskim, proponował zupełne rozpuszczenie ochotników polskich.

Jednak postawa Niemców poznańskich, energicznie opierających się wszelkiej reorganizacji narodowej, kazała się obawiać ciężkich powikłań.

Generał komenderujący, Colomb, powoli gromadził wojsko, starał się otoczyć niem powstańców. Raz poraz dochodziły wieści, że jego wojsko otacza drobne oddziały polskie i rozbija je siłą.

W miarę jak nadechodziły nowe pułki, stawał on się nieprzejednanym wrogiem wszelkiej ugody i wszelkiego porozumienia się z buntownikami „*Mit Rebellen pactirt man nicht*” — temi słowy drwiąco się odzywał o pokojowej misyi Willisena.

W samym Poznaniu zgromadzono do dziesięciu tysięcy wojska, po kilka tysięcy stało w Gnieźnie i w Bydgoszczy. Załogi, dochodzące do tysiąca ludzi, stały w kilku mniejszych powiatowych miasteczkach. Z chwilą przyjazdu Willisena było już przynajmniej 20 tysięcy wojska. Colomb sądził, że to dosyć na rozbięcie sił powstańczych, i dlatego z największą trudnością zdołał Willisena uprosić go o powstrzymanie rozpoczęcia kroków wojennych. Gdy zaś po upływie umówionych trzech dni, to jest 8-go, ugoda nie została zawarta, Colomb zgodził się wreszcie jeszcze na dalsze trzy dni i jako ostateczny termin wyznaczył 11-go do godziny 10-ej rano.

Aby doprowadzić do ugody z Polakami, Willisena przesłał do Berlina propozycję zatwierdzenia Gustawa Potworowskiego, na naczelnego prezesa Księstwa, również doniósł ministrowi, że nie widzi innego sposobu pokojowego rozwiązania sytuacji, jak udzielenie pozwolenia na utworzenie jakiegoś, choćby małego korpusu wojska poznańskiego z polską komendą i kokardami narodowymi. Był pewien, że tą ceną można było okupić rozpuszczenie  $\frac{3}{4}$  wojska powstańczego. Minister jednakowoż stanowczo na ten projekt się nie zgodził. Pomimo to Willisena pertraktował z członkami komitetu dalej—nie schodząc z gruntu propozycji utworzenia takiego osobnego poznańsko-polskiego korpusu. W komitecie była partya, której wogóle nie na rękę była cała organizacja wojskowa; Willisena przyrzekał święcie spełnienie wszelkich obietnic, gdy się wojsko polskie rozejdzie, obiecywał więcej, niż miał

prawo. W Komitecie rozważano wszelkie możliwości. Konferowano z Mierosławskim i innymi oficerami, czy się może lepiej bronić. Alternatywa bowiem była: przyjąć ugodę lub naprawdę z bronią w ręku żądać od Prusaków lepszych warunków. Lecz wojskowi orzekli, że zbrojny opór wątpliwe miałby skutki. Prusacy nie tracili czasu i zebrali siły. Poruszono też i projekt rzucenia się do Kongresówki. Zdawało się jednak, że wojska pruskie z rosyjskimi są w porozumieniu, i że ten sposób złapania powstańców jak w pułapkę byłby im najdogodniejszy.

Napozór więc wszystkie względy przemawiały za przyjęciem warunków ugody, zgodnie z którą Polacy mieli rozpuścić większą część ochotników, Willisen zaś zobowiązał się do przeprowadzenia pewnych określonych reform w administracyi, sądownictwie i wojsku prowincyi. Willisen początkowo obstawał przy zupełnem puszczeniu ochotników do domów, na co już ostatecznie komitet centralny się zgodził, lecz zaoponował temu Mierosławski, nie chcąc wywołać opozycyi, która mogła groźne przybrać rozmiary, gdyby szersze koła ogarnęła, mogła wreszcie całą ugodę uniemożliwić. Willisen zgodził się na pozostawienie czterech obozów polskich. W myśl tej ugody, zawartej 11-go kwietnia w Jarosławcu, ograniczyć mieli Polacy swe siły pierwotne, około 10 tysięcy wynoszące, do czterech obozów, z których każdy składać się miał z 600 ludzi piechoty i 120 kawaleryi. Zawarcie ugody Jarosławieckiej poczytali Niemcy poznańscy Willisenowi za zdradę na korzyść Polaków, nie zważając na zobowiązania, które Willisen Polakom poczynił, parli

do orężnej rozprawy z powstańcaui. Również nie-przychylnie przyjętą została wiadomość o zgodzie przez obozy polskie. Pisze o tem Łukomski: „Po-  
 stanowienie, przyjęte ugodą Jarosławiecką, aby z wojska polskiego zatrzymać tylko kadry, t. j. ma-  
 łe oddziały, w pewnych, oznaczonych miejscowo-  
 ściach, a resztę ochotników rozpuścić, uzasadniono  
 tem, że teraz jeszcze wojny z Rosyanami rozpoczy-  
 nać nie można, bo ani pruskie ani polskie wojsko  
 nie jest dostatecznie do wojny przygotowane. To po-  
 stanowienie nie łatwo się dało przeprowadzić, bo  
 wiarusy, którzy się poświęcili waleczyć za Ojczy-  
 znę, nie chcieli opuścić szeregów, posądzając pa-  
 nów, zasiadających w komitecie i wogóle szlachtę  
 o zdradę sprawy narodowej. Trzeba było niezmier-  
 nie długich przekładań, aby przynajmniej tych ocho-  
 tników, którzy mieli rodzinę lub byli potrzebni do  
 prowadzenia gospodarstwa, nakłaniać do niby chwi-  
 lowego opuszczenia szeregów, jakby za urlopem;  
 zapewniać ich trzeba było, że ich się niezadługo  
 znów powoła pod broń, gdy tylko będziemy mieli  
 wyruszyć za kordon graniczny. Uszczuplone od-  
 działy porozsyłano do oznaczonych przez konwen-  
 cję Jarosławiecką miejscowości, a nasz oddział,  
 pierwotnie w Sulmierzycach utworzony, prawie  
 w niezmnieszonej liczbie pomaszerował do Odola-  
 nowa, aby dalej się ćwiczyć i mustrować. W od-  
 dziale tym było około 300 ludzi, uzbrojonych w ko-  
 sy, a 20 w strzelby pojedyncze lub dubeltowe naj-  
 rozmaitszego kalibru.

Miasto Odolanów składa się z trzech, łąkami  
 oddzielonych, części, połączonych ze sobą groblami

nad rzeczką Baryczą. We wszystkich tych częściach rozlokowano nas na kwatery. Naokoło miasta ustawiono wojenne wiechy, to jest długie drągi, okryte słomą, na wierzchu, lub sądkiem, lub tylko maźnicą smoły z beczką, aby w razie trwogi zapalone wzywały okoliczny lud nam na pomoc.”

Jakkolwiek z wielkimi borykając się trudnościami, warunki ugody Jarosławieckiej Polacy przeprowadzili. Prócz kilku luźnych, nie wchodzących w rachubę, oddziałów, siły polskie skoncentrowały się w przepisanej liczbie w czterech obozach: w Miłosławiu, w Książu, w Nowem Mieście (zamiast we Wrześni) oraz w Odolanowie (zamiast w Pleszewie). Dowódcą w Miłosławiu był Brzeżański, w Książu — Floryan Dąbrowski, w Nowem Mieście — Garczyński, a w Odolanowie — Białoskórski. Konwencya Jarosławiecka była właściwie zawieszeniem broni, jak trafnie ją nazwał Mierosławski... Spoczywała ona jednak na tak kruchych podstawach, że mało brakowało do tego, aby zupełnie unicestwioną została, zanim jeszcze nawet wykonywać ją zaczęto.

Pomimo solennego przyrzeczenia, danego Willisenowi, że wojsko pruskie Polaków przed 11-ym kwietnia napastować nie będzie, Colomb tak powydawał rozporządzenia, że w Trzemesznie już 10-go kwietnia Prusacy zaatakowali miasto. Utarczki powtarzały się niemal codziennie w rozmaitych miejscowościach, jakkolwiek do walnej bitwy nie doszło, dopóki Willisen bawił w Księstwie. Gdy jednak, doznawszy od wojsk, od Colomba i od podwładnych mu urzędników administracyjnych afrontu, Willisen

wyjechał do Berlina, stronnictwo, dążące do stłumienia powstania orężem, stało się panem placu i trudno się było już ludzić co do pokojowego załatwienia sprawy.

Zanim jednak obóz pleszewski, do którego należał nasz podporucznik Łukomski, wziął udział w walnej bitwie, musiał stoczyć z Prusakami utarczkę w Odolanowie, a opisuje ją nasz autor tak:

„W wielką sobotę 22-go kwietnia po mustrze, zebrał się nasz oddział przy magazynie do odebrania racyi na święta—kaszy, mięsa i okowity. Wtem około południa dano znać do straży, stojącej na przedmieściu, że wojsko pruskie nadciąga. Niebawem usłyszeliśmy strzały karabinowe. Kapitan Parczewski wsiadł na konia i jako parlamentarz powiewając białą chustką pośpieszył na przedmieście, aby wytłómaczyć Prusakom, że podług konwencji Jarosławieckiej mamy prawo się znajdować w Odolanowie. Po dwa razy jeździł i wracał za każdym razem z tem żądaniem dowódcy pruskiego, abyśmy złożyli broń i zdali się na łaskę i niełaskę, na co ani komendanci, ani ochotnicy zgodzić się nie mogli i nie chcieli.

„Wojsko pruskie znów rozpoczęło strzelanie, wobec tego kilku naszych strzelców i kosynierów wysunęło się chyłkiem w stronę wroga ku przedmieściu, a za nimi w małych oddziałach posunęła się reszta ochotników po grobli. Odważnie natarłszy na wroga, wśród odgłosu bębnow i dzwonów nasi zmusili Prusaków do cofania się po za domy i opłotki. Z każdego podwórka musieliśmy wypie-

rać nieprzyjaciela, aż go przecież wyparliśmy z przedmieścia do lasu w kierunku Krotoszyna. Był to ten sam pruski pułkownik Bonin, na czele oddziału strzelców zgorzeličkih i szwadronu kirasyerów, który poprzednio braterstwo broni z nami ogłosił.

„Wyparty z przedmieścia, śpiesznie się cofał w stronę lasu, bo wskutek płonącej wiechy wojennej w południowej stronie okoliczni włościanie z kossami, widłami, cepami podążali nam z pomocą i mogli zająć nieprzyjacielowi tyły do odwrotu. Aż do samego lasu nie ścigaliśmy nieprzyjaciela, obawiając się jakiej zasadzki. Powróciliśmy więc na przedmieścia, zabierając ze sobą rannych. Prusacy swych rannych zabierali ze sobą, tylko jednego strzelca, rannego kulą w piersi, nie zdążyli zabrać i my, wracając od lasu z pościgu za nieprzyjacielem, zabraliśmy go do miasta do lazaretu. Położyliśmy go na drzewcach kos, które skrzyżowane i sukmanami naszych ludzi okryte, wygodne stanowiły leże. Odebraliśmy mu sztucer ciągniony i naboje ze słoikowatemi kulami, które od niedawna dopiero zaprowadzono u strzelców pruskich. W drodze otaczaliśmy rannego żołnierza staranną opieką. Z naszej strony straty wynosiły kilku zabitych i kilkunastu rannych. Pomędzy zabitymi było dwóch z Sulmierzyc. Szymański i Balcerek, oraz jedna kobieta z pobliskiej wioski, która za mężem pośpieszającym nam na pomoc z widłami, podążała ze strzelbą, aby ją wręczyć mężowi. Gdy przechodziła przez ulicę, trafiła ją kula nieprzyjacielska w oko, i głowę przeszła. Ilu nieprzyjaciel miał zabitych i rannych, dowiedzieć się nie mogliśmy.

„Po powrocie do miasta dowiedzieliśmy się, że od Ostrowa ciągnie znaczny oddział wojska pruskiego z dwiema armatami ku Odolanowu, lecz w Wielkiej Topoli, wsi na trasie między Odolanowem i Ostrowem położonej, został w pochodzie wstrzymany, dzięki skleconym naprędce barykadom i uzbrojeniu mieszkańców. Nasi dowódcy, nie chcąc narazić miasta Odolanowa na zburzenie, postanowili cofnąć się do Raszkowa. Zebrawszy tedy cały oddział i wszystkie przybory wojenne, wymaszerowaliśmy w pełnym porządku drogą przez Nabyszyce do Pogrzebowa, gdzie było więcej naszego wojska, należącego do tejże samej komendy, t. j. Białoskórskiego.

„Wychodząc z Odolanowa, widzieliśmy, że wojsko pruskie, ciągnące od Ostrowa, już wchodzi na górkę z przeciwnej strony przez mosty na rzeczce Baryczy; widząc je wkraczające do miasta, pojęliśmy, że było ukartowane, aby oba oddziały z Krotoszyna i z Ostrowa równocześnie przybyły do Odolanowa i wzięły nas we dwa ognie. Nie byłoby wtedy ratunku dla nas i dla miasta, lecz wykonaniu tego planu dzielni mieszkańcy Topoli swem męstwem przeszkadzili.

„W Pogrzybowie doznaliśmy od dowódców i od towarzyszków broni serdecznego przyjęcia, jako tacy, co chrzest wojenny już odbyli. Tego samego dnia nad wieczorem zawezwano mnie, abym z 12-tu strzelcami, i 18 kosynierami zluzował postawioną straż w Dębinie, karczmie, oddalonej o ćwierć mili od Pogrzybowa i tam strzegł przed napadem wojska pruskiego, które ze strony Jankowa Zalesnego mo-

gło się zbliżać. Byłem bardzo zmęczony, zorganizowałem jednak tę straż z Odolanowskiego oddziału i na ochotnika z innych i wyruszyłem na wskazane miejsce. Poinformowany przez zlużowaną straż, rozstawiłem potrzebne pikiety i przez całą noc obchodząc i luzując je, nasłuchiwałem, co się w okolicy dzieje. Po północy dał się słyszeć daleki, głuchy szelest od lasu ku Jankowu, jakby pochód konnicy. Natychmiast pościągałem rozstawione pikiety i w stronę tego lasu ustawiłem moją straż w jeden szereg, informując, że gdy donośnym głosem zakomenderuję „*podwójnym krokiem naprzód!*”, cały oddział ma stać w miejscu, przebierając popiesznie nogami, jakgdyby w szybkim marszu. A ciemno było, choć oko wykol. Zauważywszy, że szelest od lasu zbliża się i staje się donośniejszy, zaraz co głosu starczyło, dawałem komendę do marszu, lub do przykładania broni do strzału. Skutek był ten, że szelest oddalał się i uciekał. Gdy się cokolwiek wyjaśniło i mój oddział rzeczywiście posunął się o kilkadziesiąt kroków w stronę lasu, usłyszeliśmy głuchą komendę „*Kehrt!*” i wyraźnie uchodzenie konnicy do lasu.

„W Pogrzybowie uwiadomiła o zajściach tych naszych naczelną komendę pikietu ulańska, stojąca opodal naszej straży, gdy przy zlużowaniu powróciła do obozu. Gdy się rozjaśniło, przybył zatem naczelnik Białoskórski na czele silnego oddziału piechoty i konnicy. Po odebraniu szczegółowego raportu podjechał z kilku oficerami i przekonał się ze śladów, że nieprzyjacielska konnica istotnie zamierzała napaść nasz obóz w nocy. Straż otrzyma-

ła od niego pochwałę za dobre wykonanie służby. Gdy się zaś Białoskórski dowiedział, że to straż przeważnie z oddziału Odolanowskiego majora Murzynowskiego, który dnia poprzedniego bił się w Odolanowie i dwie mile potem do Grzybowa pomaszewował, rozgniewał się na komendanta oboźnego, że nas na straż całonocną wysłał i polecił jaknajwcześniej nas zluzować, co też w przeciągu paru godzin nastąpiło.

„Wróciliśmy więc do Pogrybowa, a że to było właśnie pierwsze święto Wielkiej Nocy — zatem w samą porę, aby zdążyć jeszcze na nabożeństwo do kościoła.

„Po obiedzie ze wszystkich stron przybyli ludzie do obozu w odwiedzinę, przeważnie przynosząc ze sobą święcone, na jakie kogo stać było, a, obdarzeni niem, po bratersku dzielili się z towarzyszami broni, o których zaopatrzeniu krewni lub znajomi pamiętać nie mogli. Następnie ogłoszono w obozie, że w Baszkowie tworzy się batalion strzelców pod dowództwem pułkownika Kuszla, a kto ma broń palną i umie się ze strzelbą dobrze obchodzić, może z oddziału swego przejść do Raczkowa i wstąpić do nowej reorganizacyi. Dużo znalazło się ochotników, z którymi pospółu zapisano i mnie do strzelców. We dwa dni później stał już w gotowości batalion, składający się z dwóch kompanii, razem około 300 ludzi. We wtorek wieczorem zapowiedziano nam rychły wymarsz do Pleszewa“.

Tu musimy na chwilę przerwać opowiadanie Łukomskiego, aby dorzucić kilka objaśnień do po-

wyższych ruchów wojska powstańczego. Jak zaznaczyliśmy powyżej, konwencya Jarosławiecka przeznaczyła Białoskórskiemu obóz w Pleszewie. Na żądanie Willisena, już po zawarciu konwencyi, przeniósł się Białoskórski z Pleszewa do Odolanowa. Tu spotkała w Odolanowie stojący oddział polski opisana powyżej zaczepka sił pruskich, wskutek czego kapitan Murzynowski, w którego oddziale stanął nasz podporucznik Łukomski, cofnął się do Raszkowa, aby połączyć się z główną komendą. Po odebraniu relacyi Murzynowskiego wieczorem tegoż samego dnia wyprawił Białoskórski parlamentarzy do Bonina, do Krotoszyna. Przetrzymano ich w więzieniu całą noc, obchodzono się z nimi, jak z więźniami, i dopiero na drugi dzień po południu zobaczyli Bonina, który im oświadczył, że zajęcie Odolanowa przez Polaków uważa za zerwanie konwencyi Jarosławieckiej i żąda również opuszczenia Raszkowa. Gdy mu zwrócono uwagę, że Odolanów zajęty został z upoważnienia Willisena, odrzekł Bonin, że to go nie obchodzi, ponieważ punkt ten leży na jego linii operacyjnej pomiędzy Ostrowem, Krotoszyńcem i Ostrzeszowem.

Wreszcie, jako ultimatum, pozostawił czas do środy na opuszczenie Raszkowa i powrót do Pleszowa. Na to odpowiedział Białoskórski protestacyą do Willisena, Colomba i ministra wojny, do komitetu zaś pisał, że Raszkowa bez boju nie opuści. Ta ostatnia zapowiedź zgodna była z instrukcyą Mierosławskiego, wydaną dowódcom czterech obozów. Lecz komitet centralny sądził, że będzie jeszcze można drogą pokojowych układów dojść do

celu i zawezwał Białoskórskiego do cofnięcia się zgodnie z żądaniami Bonina.

Dnia 25-go kwietnia stał Białoskórski w gotowości do wymarszu z Raszkowa. Skoro z rana o czwartej zaczęły postępować kolumny pruskie, wysłano najpierw do Pleszewa wozy z żywnością i rannymi, lecz wozom tym przecięli za miastem drogę kirasyerzy pruscy, właśnie od strony Pleszewa; oddział kosynierów i jazdy polskiej rozproszył napastników, lecz ściągnął na siebie atak pruskiej piechoty. Wywiązała się utarczka, w której brali udział strzelcy polscy. Tymczasem Białoskórski zawiadomił Bonina, że ustępuje — strzelania więc zaprzestano. Tę otóż utarczkę przy opuszczeniu Raszkowa opisuje Łukomski.

„Ledwo dzień się zrobił (t. j. 25-go kwietnia) wymaszerowała z Raszkowa druga kompania strzelców. Za nią poszła część ułanów i kilka oddziałów kosynierów, wreszcie zaś reszta ułanów i pierwsza kompania strzelców pod komendą przybyłego z emigracyi kapitana Prądyńskiego. Za Raszkówkiem zaczęła nas piechota pruska strzałami, dlatego też rozwinięto w tyralierkę drugą kompanię strzelców, zasłaniającą pochód naszego wojska, aby odstrzeliwując się zwolna, cofać się za obozem, który, nie rozwijając się w linię bojową, spokojnie maszerował dalej, aż po za pierwszą wieś, Strzelawę. Z towarzyszem moim, Siltowskim, zajęty gorliwym ostrzeliwaniem się, nie zauważyłem wcale, że wojsko pruskie, po cofnięciu się naszych tyralierów ku wsi, przecina nam drogę. Musieliśmy wobec tego zboczyć na pole i przez zagony rzepaku cofać się

ku swoim. Aniśmy się spostrzegli, jak na nas z drugiej strony natarli Prusacy. Posuwać nam się było trudno i niewygodnie w zagonach; byliśmy całkowicie przemoczeni rosą z rzepaku.

„Nagle padł Sitowski na ziemię z jękiem: „ja już mam swoje!” Schyłam się nad nim i pytam: gdzie? co? a on odpowiada: „w szyję dostałem.” Badałam, a tu tylko jego kołnierzyk podarty i na karku czerwona pręga, krwi ani śladu.

„Wstawaj, mówię zatem. Wstał tedy z moją pomocą z rzepaku, lecz był bardzo blady. Wziąłem jego strzelbę na ramię i tak znowu przedzieramy się przez grzędy rzepaku ku wsi. Gęsta mgła zaczęła zaściełać pole i ona to nam dopomogła. Nie ścigani już przez Prusaków, dostaliśmy się do wsi a za wsią znaleźliśmy cały nasz obóz. Na samym wstępie spotkaliśmy naszych strzelców z pułkownikiem Kuszlem, który zauważył, że zniknęła jedna kompania tyralierska i sądził, że zginęła. Niezmieranie się ucieszył, dowiedziawszy się, że ta rota ocalała, wziął nas obydwóch na swoją bryczkę i zanotował sobie nasze nazwiska. Żeśmy z życiem cało uszli, będąc już oddzieleni od swoich, mamy to do zawdzięczenia tylko fortelowi wojennemu, który się udał w ten sposób: jeden z naszych trębaczów, znając sygnały pruskie, stanął za grubą wierzbą i zatrąbił sygnał: „*Hahn in Ruh!*“ sygnał ten powtórzył najbliższy trębacz pruski a następnie i inne na całej linii, wskutek czego wojsko nieprzyjacielskie przestało strzelać. Nim się rzecz wyjaśniła, już byliśmy w Skrzebowie, a tu nie odważono się nas atakować, osłoniętych budynkami..”

Gdy Białoskórski pomaszerował do Pleszewa, Prusacy wypadli jeszcze w pobliżu Raszkowa do wsi Pogrzybowa, gdzie miała swe stanowisko legia akademicka. Na wezwanie Bonina, akademicy broń złożyli, protestując przeciw pogwałceniu pozwolenia, udzielonego w Berlinie przez rząd. Reklamacji Bonin nie uwzględnił, akademików trzymał, jako więźniów w Krotoszynie, później zaś ich wywieziono do Kistrzyna (Küstrin) i w fortecy przetrzymano kilka miesięcy. Gdyby nie osobista odwaga pułkownika Kuszla, który swymi strzelcami odparł piechotę pruską, oraz S. Taczanowskiego, który z ułanami swymi rzucił się na kirasyerów pruskich, spotkanie pod Raszkowem skończyłoby się daleko gorzej. Cały łup Prusaków pod Raszkowem stanowiło—oprócz nieostrzelanych akademików—dwadzieścia dziewięć nieosiodłanych koni i część furgonu. Żołnierze pruscy, po zajęciu Raszkowa i Raszkówka, rzucili się na rabunek i splądrowali nawet kościół. Tak więc powrócił Białoskórski do Pleszewa nieco zdezorganizowany ustępowaniem przed wojskami pruskimi.

„W Pleszewie—pisze Łukomski dalej—zebrały się wszystkie oddziały Białoskórskiego, tak, że wojsko jego komendy wynosiło do 3,000 głów. Pod Raszkowem przejął nas do głębi serca następujący wypadek tragiczny. Przy zapisywaniu zgłaszających się do strzelców, wymienił jeden nazwisko „Prączyński.“ Nasz kapitan tego samego nazwiska zapytał go, z kąd pochodzi, kto są jego rodzice. Na to otrzymał odpowiedź, że zgłaszający się przybył

z Kalisza ze szkół, że ojciec jego na emigracyi we Francyi.

Wymienił też imię swej matki, z czego nasz kapitan się przekonał, że jest to jego rodzony syn, którego pozostawił w kolebce, udając się na emigracyę po powstaniu 2831 roku.

W utarzędze pod Raszkowem nieszczęśliwy ojciec widział, jak kula pruska przeszła jego odnalezionego syna, pozostawiając mu tylko bolesne wspomnienie, że syna po to odnalazł, aby go zaraz utracić.

W Pleszowie od środy aż do soboty 29 kwietnia pilnie się ćwiczyliśmy w obrotach wojskowych, a w wolnym czasie uzupełnialiśmy sobie zapasy amunicyi, to lejąc kule w formach, to próbując, czy kule te stosować się będą do łuf naszych strzelb, bo za duże trzeba było rąbać na części, tak zwane siekańce — to zaopatrując się w najgrubszy śrut, czyli loftki, w znaczną ilość prochu i kapiszonów. Na przybitki używaliśmy pakul lub papieru z gazet<sup>n</sup>.

Podczas, gdy wojsko powstańcze w ten sposób sposobilo się do dalszych bojów, nie wiedząc weale o położeniu innych obozów, zbliżał się szybkim krokiem krytyczny termin — walna rozprawa orężna z Prusakami. Rozpocząć się ona miała w Książu. Dla zrozumienia opisywanych dalej w pamiętniku wypadków, poświęcić tu potrzeba obszerniejszą wzmiankę obozowi w Książu. Po zawarciu konwencyi Jarosławieckiej, w Książu wybuchła groźna rewolucya obozowa, wskutek której dowódca Budziszewski, nie mogąc jej stłumić, usunął się. Komenda nad obozem przeszła w ręce Floryana Dąbrowskiego. Dzięki staraniom Dąbrow-

skiego, obóz powoli przychodził do porządku, organizacya wojskowa posuwała się szybkim krokiem naprzód, bez naruszenia zresztą zawartej w Jarosławcu konwencji.

Czujność komendanta nie mogła ujść uwagi Prusaków. Widzieli oni, że z każdym dniem obóz Książa nabiera wagi, która w danej chwili może stać się szkodliwa dla ich zamiarów. Nie tracąc czasu, chwyтали się Prusacy wszelkich najdrobniejszych okoliczności, aby zmusić Dąbrowskiego do walki. Dąbrowski na wezwanie Brandta odpowiedział śmiało, że uwięzieni ludzie zostaną wypuszczeni, jeśli niewinność ich sąd stwierdzi, w razie zaś, jeśli sąd ich winę udowodni, poniosą karę, na którą zasłużyli.

Spodziewając się jednak napaści Prusaków, komendant Dąbrowski rozkazał zwołać lud z okolicznych wsi. Stawiła się wiara pod chorągwie — lecz pruskie wojska nie atakowały obozu. Nie mając dość żywności, aby zwołanych ludzi utrzymać pod bronią, puścił ich Dąbrowski do domów. Tymczasem w sobotę, dnia 29-go kwietnia o dziewiątej rano patrole, powracające ze strony Śremu i Dolska, doniosły, iż wojsko pruskie koncentruje się na trakcie od Śremu. W godzinę później dały znać forpoczty jazdy, iż nieprzyjaciel się zbliża. Około dziesiątej rano Prusacy opasali już dokoła miasto. Przed zaczęciem boju napadli oni na wozy, idące z żywnością do Nowego Miasta z obozu ksiąskiego i zabrali je, zanim konnica polska zdołała temu przeszkodzić. O wpół do jedenastej przysłał pułkownik pruski Brandt, parlamentarza, żądając niezwłocznego złożenia broni i bezwarunkowego poddania się.

Dąbrowski, licząc na posiłki, mające nadejść z Nowego Miasta od Garczyńskiego, postanowił bronić się do upadłego.

Stu kilkudziesięciu strzelców w Książu dwie godziny broniło przystępu do miasta. Bronili się z wściekłością, jaką tylko rozpacz, lub nadzieja rychłej odsieczy dać może.

Była godzina druga po południu, a Garczyński nie przybywał. Co chwila wśród walczącej garstki odzywały się głosy: „już idą, już idą” i to dodawało odwagi. Wreszcie o trzeciej, gdy strzelców wybito już prawie do nogi, zdrada Żydów i niemieckich mieszkańców miasta dokonała tego, czego nie były w stanie dokonać ataki Prusaków. Drogami, wskazanymi przez Żydów i Niemców, dostają się tyralierzy pruscy do domów z tyłu przez rowy i łąki, wypierają kosynierów z ulicy Śremskiej, odcinając od rynku część obrońców tej strony miasta i podpalając domy. Połowa miasta stała w ogniu, a żaden z obrońców nie rzucił broni pod nogi Prusakom. Walka nie ustawała ani na chwilę. Z każdego dachu, z każdego okna padały nieprzyjacielskie strzały na garść broniących się mężnie kosynierów, którzy wreszcie widząc tyły zabrane przez nieprzyjaciela, będąc prażeni kulami i ogniem pożaru, przygniatając się spadającymi z dachu płonącymi belkami, cofnąć się musieli ze wszystkich ulic do rynku. Gdy teatr walki do rynku się tylko ograniczył, ze wszystkich stron grad kul morderezych sypać się począł na niedobitki obozu książkiego.

Pięć godzin już trwała nierówna walka a dowódca, mężny Floryan Dąbrowski, ani chce słyszeć

o pardonie, choć ranny w głowę, rzuca się jeszcze na nieprzyjaciela, lecz osłabiony upływem krwi, cofa się ku głównemu odwachowi w rynku. Wtedy szef konnicy, Leon Smitkowski, wysłał Sokolnickiego, jako parlamentarza, z doniesieniem, że Polacy gotowi są poddać się wrogowi. Poddanie przyjął Brandt pod warunkiem złożenia broni — otrąbiono pokój. Pomimo to walka zaciekle trwała dalej i zakończyła się zupełnym pogromem słabych sił polskich, które—już po złożeniu broni, po części wymordowane, po części do niewoli wzięte zostały. Wieść o zaatakowaniu Księża doszła w kilka godzin do Pleszewa.

Opisuje te chwile pamiętnik Łukomskiego w ten sposób:

„W sobotę po południu dnia 29-go kwietnia zatrąbiono na alarm i zebranemu do marsza całemu wojsku oświadczone, że w Księżu biją się nasi i że pójdziemy im na pomoc. Naprzód pomaszerowali strzelcy traktem ku Jarosławiu, potem kosynierzy, a na ostatku ulani. — Był to podniosły widok, jak w miejscach, gdzie trakt się załamywał, promienie zachodzącego słońca odbijały się w rzędach kos, jakby wypolerowanych.

„Już zupełnie ciemno było, gdy przyszlismy do Jarocina i tu dowiedzieliśmy się, że już po bitwie, a Książ przez Prusaków spalony i nasi albo polegli, albo wzięci do niewoli i przetransportowani do Poznania. Nie było już więc po co zdążać do Księża. Pomaszerowaliśmy przez Jarocin i skierowaliśmy się do Żerkowa. Około północy byliśmy we wsi Wilkowyja, gdy nas doszła sztafeta, aby po-

dążać ku Miłosławiowi, bo tam spodziewają się napadu. Maszerując bez przerwy, o brzasku dnia byliśmy już w Żerkowie.”

Dnia 27 kwietnia wydał komenderujący generał Colomb rozkaz atakowania obozów polskich. Najpierw miał Brandt zaatakować Książ i zniósłszy obóz ksiąski, połączyć się z idącym do Środy generałem Blumenem, w celu wspólnego zaatakowania Miłosławia. Nie spodziewając się wcale, że Polakom zdołają nadejść posiłki z Pleszewa i z Nowego Miasta, pewien był generał Blumen, że garstkę Polaków z Miłosławia (około tysiąca ludzi) zdoła odrazu zgnieść swemi siłami, prowadził bowiem ogółem pięć tysięcy wojska, nie licząc wojska Brandta.

Lecz Brandt, wyczerpany silnym oporem Polaków w Książu dnia poprzedniego, nie był w stanie podążyć pod Miłosław i posłał do Blumeną huzara z depeszą, prosząc go, aby napad na Miłosław uskutecznił dopiero 1-go maja, ponieważ sił swych zaraz połączyć nie może. Tego huzara chłopci pod Murzynowem złapali i przyprawdzili do sztabu głównego, a Blumen, gdy nie dostał depeszy, pewien był, że liczyć może na pomoc Brandta.

Nie śpieszyli się też Prusacy z uderzeniem do ataku, czekając na Brandta. Około ósmej rano, zapewne aby dać znać Brandtowi, zapalili folwark Bugaj pod Miłosławiem. Niedługo potem ukazały się pierwsze szeregi piechoty, która wkraczała do Winnogóry. Stały tam tylko 3 plutony kawaleryi i 25 strzelców. Ten oddziałik polski musiał się cofać, a za jego przykładem pójść musiały inne,

wobec przeważającej siły nieprzyjacielskiej. Jedyne śpieszne nadejście posiłków przechylić mogło zwycięstwo na stronę polską.

„Zostawiliśmy obóz pleszewski, gdy o pierwszym blasku dnia doszedł do Żerkowa.

„Po krótkim przystanku, niezbędnym dla posilenia się czembądź — opowiada Łukomski dalej — wróciliśmy się ku Dębnu i tu przeprawiliśmy się przez rzekę Wartę po zesuniętych naprędee traktach płynącego z Królestwa drzewa budulcowego. Piechota przeszła gładko, lecz ułani musieli zsiąść z koni i pojedynczo się przeprawiać, co opóźniło podróż; to samo i furgony obozowe. Po przeprawie przez rzekę, zwróciliśmy się przez Pięckowo do traktu, prowadzącego z Nowego Miasta do Miłosławia, a na brzegu lasu Miłosławskiego zostawiono mały oddział kosynierów, aby powstrzymał nieprzyjaciela, który mógł się posunąć od Nowego Miasta.

„Znużeni trudną drogą piaszczystą w lesie i dwudziestogodzinnym marszem, w ciągu którego zrobiliśmy prawie bez odpoczynku siedem mil (50 klm.), zaczęliśmy ustawać w pochodzie. Odzywać się zaczęły pojedyncze głosy, aby choć przystanąć i odpocząć. Oficerowie zachęcali do dalszego marszu ale i na nich znać było wielkie znużenie.

„W tem usłyszeliśmy głuchy odgłos strzałów armatnich.

„Wtedy nasz naczelnik, pułkownik Białoskórski, jadący na przodzie szeregów, przystanął i donośnym głosem, który wszystkie objął szeregi, zawołał: *„To naszych biją w Miłosławiu! Wiara naprzód!”*

„Jak iskra elektryczna, okrzyk ten obiegł szeregi i odtąd nie było potrzeby zachęty do marszu, lecz raczej nawoływania „nie tak szybko,” bo się szeregi zanadto ścisły i nadeptywały jedne drugim na pięty. Niebawem stanęliśmy na brzegu lasu. Nas, strzelców, niezwłocznie rozwinięto w linię tyralierów po obu stronach traktu.

„Wtedy ujrzeliśmy Miłosław i folwark Bugaj, już zajęte przez Prusaków, a ich armaty ustawione w stronę lasu przy folwarku; konnica, złożona z kirasyerów, ułanów i huzarów, ustawiona była na drodze ku Kozubcowi.

„Niebawem zmusiliśmy strzałami naszymi tyralierów pruskich do cofnięcia się za budynki, mury i płoty. Wtedy rozpoczęła się walka z bliska, bo my walczyliśmy po jednej, a Prusacy po drugiej stronie tych samych budynków. Oni, mając bagnety, tę wyższość nad nami mieli, gdyś my jednak przywołali kosynierów do pomocy, mieliśmy przewagę. Ponieważ woda oddzielała nas od parku i pałacu, tak, iż nie mogliśmy się przepawić, więc nasze skrzydło skierowało się do traktu i tu przy piecu cegielnianym i kuźni dość długo walczyliśmy z nieprzyjacielem, aby zmusić go do cofnięcia się do wnętrza folwarku.

„Podczas tego, mały oddział naszych ułanów, może z 50 koni, uwijał się po polu pomiędzy folwarkiem i lasem, na który nakierowane mieli armaty Prusacy. Ku tym to armatom zbliżali się nasi ułani. Wtedy zachodził im drogę od lasu cały szwadron pruskich kirasyerów. Nasi manewrowali w ten sposób, aby przyciągnąć kirasyerów do lasu,

a gdy wreszcie kirasyerzy, odciawszy naszych ułanów, znaleźli się na skraju lasu, wypadli nagle z okrzykiem „hura”! nasi kosynierzy, ukryci w lesie i uderzyli z impetem na wroga, podczas, gdy nasi ułani, złożywszy piki do ataku, z drugiej strony natarli. Utworzył się z tego kłęb koni i ludzi nie do rozwikłania. Który z kirasyerów zdołał się z tego kłębu cało wysunąć, jak szalony pędził ku miastu, nie zważając, że przecina promień pruskich armat i własną Prusaków piechotę tratuje. Za kirasyerami i inne gatunki konnicy pruskiej zaczęły zmykać, widząc coraz więcej kosynierów, wyławiających się z lasu i wprost maszerujących do ataku.

„Nasi strzelcy tymczasem pospołu z kosynierami dom po domu odbijali z rąk piechoty pruskiej.

„Zdobywszy kuźnię, pośpieszyło nas kilkudziesięciu strzelców i do nas dołączonych kosynierów ulicą do domów urzędników gospodarczych prowadzącą i furtką, wiodącą do parku, tuląc się pod samą ścianą, bo z okien piechota pruska jeszcze strzelała i bagnety z wszystkich okien sterczały. Pod tymi bagnetami, tuż przy murze, pojedynczo pełzaliśmy aż do zamkniętych drzwi, wiodących do parku z południowej strony. Drzwi te kolbami i plecami wyważywszy, nie zważając na kule pruskie, pozostałych Prusaków wyparliśmy tak z pałacu, jak i z parku. Nasi, oskrzydłając z dwóch stron, folwark Bugaj, zbudowany w czworobok, jakby forteca, tem samym zmusili nieprzyjaciela do cofnięcia się z folwarku. Prusacy się cofnęli, aby nie być od swoich zupełnie odcięci.

„Teraz zajął nieprzyjaciel mur cmentarza koło

kościola i zionął strzałami na wszystkie strony. Niewiele mu można było zrobić, bo z po za muru widać tylko było hełmy i oczy przy karabinach. Ostrzeliwaliśmy Prusaków od żelaznej bramy parku. Dopiero gdy naszych kilkunastu strzelców przez oranżeryę dostało się na podwórza domów, stojących naprzeciw ementarza i z poddaszy, na ukrytych na ementarzu zaczęto strzelać skuteczniej, zmuszono Prusaków do odwrotu.

„Biegając za nimi na rynek, zauważyliśmy, iż padło na nas kilka strzałów z piętra kamienicy przed Bazarem. Przed kosynierami pośpieszyłem do tej kamienicy od stronu ulicy i Bazaru, a że na dole były drzwi pootwierane i pokoje próżne, pośpieszyłem po schodach na piętro. Wyważywszy drzwi, prowadzące do pokoju od strony rynku i spostrzegłszy pruskie mundury, odwiódłem kurki od dubeltówki, a kosynierzy swe kosy pod mojami ramionami powysuwali.

„Krzyknąłem na Prusaków po niemiecku, aby się poddali i złożyli broń, odsuwając do przeciwnej ściany karabiny, ładownice i pałasze.

„Rozkazu mego Prusacy usłuchali. Zawsze z dubeltówką, gotową do strzału, poleciłem mym kosynierom wyrzucić te karabiny i pałasze do sieni. Wzięliśmy więc do niewoli pruskiego kapitana v. Knorr, weterynarza Szawelskiego i 7-u piechurów. Jeden z kosynierów chciał rąbać kapitana i już go w czoło lekko zranił, lecz wstrzymałem go i uspokoiłem tem zapewnieniem, że w Pogrzybowie zabrano szkołę naszą Podchorążych i teraz za tego kapitana nam tych naszych wydadzą. Panu Szawel-

skiemu poleciłem ranę kap. Knorra opatrzyć. Gdy się nawinęło jeszcze paru naszych strzelców, zleciłem jednemu z nich straż nad tymi więźniami, a przechodzący kosynierzy pozabierali zdobyte przez nas karabiny, pałasze i ładownice z ładunkami. Pośpieszyliśmy potem za nieprzyjacielem, który już z miasta zupełnie wyparty, ustawił się w linię bojową na polach ku Winnogórze. Posuwaliśmy się ulicą lub przez wodę po za Bazarem wbród się przeprawiwszy, by się zbliżyć ku prawemu skrzydłu nieprzyjaciela, gdzie stały także jego jaszczyki (wozy z amunicją). Zaledwie zdążyli Prusacy dać kilka strzałów armatnich do naszego wojska, ustawiającego się przy wiatrakach, gdy strzelec już tak zbliżył się, że mogli skutecznie strzelać, zaczęliśmy więc skrzydło pruskie prażyć kulami i loftkami z dubeltówek, a wtedy rozpoczął nieprzyjaciel zwijać swą linię bojową i cofać się ku Winnogórze.

„Nam wtedy nakazano wracać do Miłosławia.

„Przekonawszy się, że moi więźniowie dobrze są strzeżeni, gdy naczelnik Mierosławski wracał na czele kosynierów i ułanów, zaraportowałem o wzięciu kap. Knorra i reszty. Naczelnik przystanął i polecił sobie przyprowadzić tych więźniów, a rozmówiwszy się po francusku z kapitanem, rozkazał: kapitana i konowała dostawić do lazaretu, a wziętych do niewoli żołnierzy puścić wolno, aby ich nie żywić. Co też niezwłocznie wykonano. Żołnierze pruscy porzucali hełmy i włożyli na głowy furażerki (czapki wojskowe), a nasi kosynierzy poobkrawali im naramiennice z numerami, przez to mogli

się udać gdzie im się podobało, nikt ich nie zaczepiał. Nawet gdy się taki zneutralizowany żołnierz pruski grzecznie, choć po niemiecku, odezwał, to wnet zyskiwał sympatyę i częstowano go wódką lub chlebem. Niejeden nawet, zamieniwszy swą furazerkę z kosynierem na kapelusz, choć słowa po polsku nie rozumiał, pozostał przy kosynierach i widziano wielu z nich w marszu do Wrześni. Kiedy się zaś z obozu ulotnili, nikt się o to nie troszczył.

„W Miłosławiu domy wszystkie były prawie puste, bo mieszkańcy w czasie bitwy pouciekali i nigdzie nie było czem się posilić. Wieczór się zbliżał, znużenie i głód się odzywały, szczęśliwy, kto kromkę chleba miał w torbie. Moją kromkę trafiła kula pruska i w niej uwięzła. To nie przeszkadzało, że mi chleb znakomicie smakował. Torba była przedziurawiona i chustka do nosa, zresztą byłem zupełnie nietknięty.

„Oddziały kosynierów pomaszerowały do obozu pod las, ułani na folwark Bugaj, my, strzelcy, zostaliśmy w mieście, lecz nie radzono nam spać w domach, tylko pod gołem niebem. Więc w rynku i po ulicach poukładaliśmy się, wzięwszy tornisty pruskie pod głowy. Można sobie wystawić, że po takim marszu i bitwie spaliśmy, dopóki dzień w oczy nam nie zaświecił. Wczy z bagażami w czasie bitwy gdzieś się zawieruszyły; w lesie w obozie nie było co gotować, stąd więc powstały skargi na głód. Aż jakiś doświadczony oficer zawołał: „Po wygranej bitwie nie powinno być głodu! Czy to mało, zabitych koni tu leży“?

„Skargi ucichły, wiara się zabrała do dzieła i niezadługo na drewnianych rożnach piekły się przy ogniskach soczyste pieczenie. Rano wozy z bagażami nadeszły, a my pomaszzerowaliśmy do obozu. Wnet wszystko zajęło się gotowaniem w kotłach mięsa z kaszą lub jagłami i rozdzielaniem wódki i chleba. Po zadosyćuczynieniu potrzebom żołądka, dobry humor nam zaraz powrócił.

„Koło południa przybył naczelnik Mierosławski do obozu i odbył przegląd wojska. Pułkownik Krzel przed front batalionów strzelców wywołał starszego sierżanta Łukomskiego i sierżanta Siltowskiego, przedstawił Naczelnikowi na oficerów, za odznaczenie się pod Raszkowem i pod Miłosławiem. Naczelnik uściskał nas, mianował oficerami, lecz dodał, że do wystawiania dyplomów nie było czasu. Siltowski później o dyplom się wystarał, ja rzeczywiście nie miałem do tego czasu wolnego, też o ten dyplom piśmienny dość mało chodziło, bom to miał zadowolenie, że mój obowiązkowi zadosyć uczyniłem. Walna bitwa pod Miłosławem, zakończona świetnym zwycięstwem Polaków, była niestety ostatnim błyskiem nadziei”.

Wiedział o zwycięstwie i rozkoszował się niem autor naszego pamiętnika, nie obejmując zaś wzrokiem całej sytuacji politycznej i wojennej;—nie wiedział o bliskim końcu całej kampanii, nie przeczuwał, że najpiękniejsze nadzieje przesłonić miała niebawem głucha rozpacz. Zwycięstwo pod Miłosławem tylko prostych żołnierzy, nieświadomych położenia, przejęło upojeniem i radością.

Część starszyny straciła otuchę do dalszego

prowadzenia wojny, widząc zupełną bezowocność wysiłków, które nie mogły już sprawy uratować, będąc otoczone żelaznym pierścieniem wojsk pruskich. Trzeba było niesłychanych wysiłków, uporów, czynności i energii, aby po jałowym zwycięstwie zapobiedz zupełnemu rozprzężeniu się wojska powstańczego. Dopiero późno w noc udało się zebrać gromadkę strzelców, która zajęła kilka ważniejszych punktów strategicznych, opuszczonych przez Prusaków, a nazajutrz z rana od biedy sformowano szeregi. Mierosławski zamierzał przedrzeć się na Kujawy, aby wznieść powstanie w tej żyznej, ludnej i bogatej okolicy Księstwa. Wobec rozbicia wojsk pruskich pod Miłosławiem zamiar ten, przy odpowiedniej szybkości ruchów, zupełnie był wykonalny i byłby może zapewnił przynajmniej względne powodzenie dalszym zamiarom Mierosławskiego. Stała się jednak temu na przeszkodzie grupa oficerów, namawiających do układów z Prusakami i zawzięcie sejmikujących nad tem, co robić. Na tem sejmikowaniu zeszło dużo czasu.

O całej tej zakulisowej robocie zdaje się Łukomski nie wiedzieć. Jego opowiadanie dalsze — opis beznadziejnego szamotania się wojska polskiego w matni bez wyjścia — aż do poddania się, napisane jest tonem zwięzłym i suchym. Widoczną mu sprawia przykrość opowiadanie o wypadkach, których się nie spodziewał — a które tem większą boleść mu sprawiły, im większemi się ludził nadziejami.

W Miłosławiu po bitwie obóz zanocował. Dalsze koleje obozu tak Łukomski opisuje:

„Nad wieczorem w poniedziałek, dnia 1-go maja, wyruszył cały obóz ku Wrześni, gdzie stanęliśmy nad ranem. Część strzelców pozostała w mieście od strony Sokołowa.

„Przespawszy się na bruku lub na piasku i potem posiliwszy się przygotowanym pożywieniem, znów byliśmy do bitwy gotowi, jakby przeczuwając nową utarczkę.

„Znalazły się wówczas słabe lub podle dusze, które starały się postrach rozniecić w obozie, opowiadając, że Prusacy w bardzo wielkiej sile okrążają miasto Wrześnię i z nas ani noga nie ujdzie cało; że zatem zawczasu należy dać drapakę. Niektórzy temu uwierzyli i opuścili obóz, lecz znaczna część pozostała, odpowiadając: „A gdzież pewniej jest jak w obozie? Razem bić się i zwyciężać, lub razem zginąć chcemy!

„Po południu naczelnik Mierosławski i inni dowódcy przybyli do obozu, i nam kazano się połączyć z innymi oddziałami, bo za Sokołowem pokazał się nieprzyjaciel i zaczął z armat do nas walić. Część strzelców utworzyła linię tyralierów, innymi strzelcami obstawiono kolumny kosynierów, nasi ułani ustawili się na trakcie do Gniezna, aby bronić naszych armatek, jednej mosiężnej i dwóch drewnianych, które dzielnie odpowiadały na strzały nieprzyjaciela. Kolumny kosynierów wyruszały jedna po drugiej z pieśnią na ustach: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, co całe wojsko męstwem napawało. Nasza linia tyralierska coraz się zbliżała do wsi Sokołowa, a naczelnik Mierosławski, w pięknym mundurze, na ślicznym, kasztanowatym

koni, dojeżdżał aż do naszych linii i zalecał, aby korzystać z kamieni i rowów, lub, w razie potrzeby, rzucać się na ziemię, ale wciąż naprzód się posuwać. Wreszcie przed wieczorem dopadliśmy do stodół wsi i znów my z jednej strony chat, a nieprzyjaciół z drugiej wytykaliśmy głowy i strzelby ku sobie. Dopiero gdy kolumna kosynierów uderzyła szturmem na armaty pruskie i te z placu boju spędziła, ruszyło się wojsko pruskie i cofać się tak szybko zaczęło, że za niem zdążyć nie mogliśmy.

„Za Sokołowem noga lewa zaczęła mi ciężyć i słabnąć. Usiadłem, patrzę — w cholewie dziura. To samo w spodniach i bieliźnie. W nodze, na łydce pod samą skórą namacałem kulę, która, mimo ciśnienia, wypaść nie chciała. Zrobiwszy nożem większy otwór, kulę wyjąłem i na krwawiącą ranę nałożywszy samych szarpi, zbandażowałem, obulem się znowu i dalej za swymi podążyłem bez przeszkody.

„Mrok już zupełnie zapadł, nim wszystkie nasze oddziały zebrały się na trakcie ku Gnieznu. Strzeley Kuszla szli naprzód, potem kosynierzy i reszta strzelców.

„Za wsią Gulczewem wezwano strzelców na ochotnika ze dwudziestu na straconą pikietę. A tu wszyscy strzeley do tej pikiety, jak jeden wystąpili. Więc od prawego skrzydła odliczono nas dwudziestu i polecono zupełnie cicho postępować naprzód, lecz nie środkiem drogi, tylko po bokach, po za drzewami, tak długo, dopóki nie spostrzeżemy straży pruskiej lub nie usłyszymy: „*Halt! Wer da?!*”

„Ciemno było, że nawet szerokości traktu widzieć nie było można. Idąc i nasłuchując, po jakim czasie usłyszeliśmy to: *Halt!... wer da?! i* zaraz kilkanaście strzałów, od których kule obok nas świsnęły: Obróciliśmy się ku naszym i zakrzyknęliśmy gromko „*hura*“ jako odpowiedź. A tu nasz cały obóz po kilka razy powtórzył to „*hura*“! Z tyłu piersi zagrzmiało to jakby huczenie grzmotu. Przed nami była wieś Czeluścin i ztamtąd dochodziły nas głucho nawoływania komendy pruskiej i brzęk pałaszy; lecz w krótkim czasie wszystko ucichło. Doszedłszy do wsi, przed pierwszą chatą zauważyliśmy coś białego, a w tejże chwili odezwał się głos: „jak te Prusaki psubraty uciekają!”

„Nie było już ani śladu nieprzyjaciela i nasz obóz, podążający za naszą pikietą, rozłożył się na leżach, przygotowanych przez pruskie wojsko, które bez wytchnienia pośpieszyło aż do Gniezna, obawiając się naszego pościgu.

„Nazajutrz, t. j. we środę 3-go maja, po posileniu się chlebem i wódką, czyli raczej okowitą, bo taką nam dostawiono, a często nie było wody pod ręką do zamieniania okowity na wódkę, maszerując traktem Gnieźnieńskim, zwróciliśmy na prawo do Witkowa.

„Tu już przed miastem stała deputacya rady miejskiej z burmistrzem na czele, przeważnie składająca się z Żydów.

„Przyjęto nas chlebem i solą i zarazem wyrażono nieśmiałą prośbę, aby do miasta nie wpuszczać W. W-nych kosynierów, którym w obozie za miastem wszystko, co potrzeba do pożywienia

dostarczone będzie. Widocznie widok kosyńców i brzęk kos tak niebezpiecznie na nerwy oddziaływał.

„Do miasta zaś zaproszono strzelców na kwatery. Cały nasz obóz stanął przed miastem i rozłożył się obok ementarza, i tylko intendenci weszli do miasta po odbiór furaju, którego jak najobficiej nam dostarczano.

„W nocy spadł ulewny deszcz i wszystkich nas przemoczył, lecz, że na drugi dzień była śliczna pogoda i zaraz rano pomaszerowaliśmy, to tam to przemoczenie nie zaszkodziło. Po południu przyszedliśmy do miasteczka Gębice, gdzie pozostaliśmy przez noc. Nazajutrz, dnia 5-go maja pomaszerowaliśmy do Mogilna. Nasza kompania strzelców stanęła przed klasztorem przy jeziorze. Tu, nabywszy parę prosiaków, które rzeźnicy opracili, i ugotowawszy je z jagłami, mieliśmy ucztę wyśmienitą i o ile zapas starczył, obdarzaliśmy tym specyalem innych towarzyszy broni.

Wieczorem tego samego dnia, opuściliśmy Mogilno i maszerując całą noc, dochodziliśmy do Powidza nad jeziorem i granicą Królestwa.

Z drugiej strony jeziora stało wojsko rosyjskie dość liczne, piechota i konnica, którym krzyknęliśmy „hura” i wywijaliśmy czapkami i chustkami na powitanie, a rosyjscy oficerowie kłaniali się nam szpadami. Przez Powidz tylko przemaszrowaliśmy, nie zatrzymując się, dopiero o milę dalej pod wsią Skąpe rozłożyliśmy się obozem aż do dnia następnego.

„Po południu dnia 7-go maja wymaszerowaliśmy

my aż do Grabowa, gdzie wieczorem przyszlśmy i tu przez noc pozostaliśmy. Nasza kompania i cały batalion obozował przed probostwem.

„Pulkownik Kuszell, czując się zmęczonym, a może i zmartwionym, nie poszedł z drugimi oficerami do dworu, lecz pozostał na probostwie. Dlatego też, gdy się nasza obozowa potrawa ugotowała, ja mu sam ją podałem, za co mi serdecznie rękę uściskał.

„W święto św. Stanisława, 8-go maja, koło południa, gdy ludzie z kościoła powychodzili, pomaszzerowaliśmy przez Miłosław, udając się do Białego Piątkowa i tu stanęliśmy obozem na noc, lecz dochodziły nas wieści, że nasi dowódcy układają się z wojskiem pruskim o zakończenie wojny i złożenie broni. Już nad wieczorem i w nocy, niektóre oddziały, zdaje się z tych, co przed bitwą stały w Miłosławiu, opuściły obóz.

„Wieści te mocno nas niepokoiły i drażniły, bo większa cześć naszego wojska chciała dalej służyć.

„Na drugi dzień rano, t. j. 9-go maja napróżno czekaliśmy na naszych dowódców: tylko kapitan Prądyński zebrał pozostały jeszcze obóz i zaprowadził do Murzynowa borowego. Tu dowiedzieliśmy się napewno, że postanowiono, abyśmy złożyli broń przed wojskiem pruskim i w tym celu pomaszzerowali do Piątkowa Czarnego. Na to radził nam wśród burzliwych scen zrozpaczonych wiarusów, kapitan Prądyński, aby spokojnie rozejść się, gdzie kto zechce, a nie chodzić do wyznaczonego przez konwencyę Piątkowa Czarnego i broni nie składać, lecz że do stawienia się przed woj-

skiem pruskim wyznaczona była pewna godzina, radził, aby się rozejść przed tą godziną bo zawiedzeni w swem oczekiwaniu Prusacy, gotowi wziąć każdego, kto jeszcze w naszym obozie pozostanie.

Aby nie przyszło do niemiłych zajęć, najwięcej pomiędzy kosynierami, którzy oskarżali naszych dowódców o zdradę, krzyknął jakiś rozsądny obywatel: „Wiara! pójdźmy do Rogalina, do Lipińskiego i do Krauthofera, który się jeszcze bije.”

Na to hasło większa część zabrała się uspokojona i z pieśnią na ustach i bronią na ramieniu wyruszyła ku zachodowi. Niektórzy, uznając radę kapitana Prądyńskiego za słuszną i na razie najodpowiedniejszą, po długim namyśle, prawie z rozpaczą, postanowili rady tej usłuchać i porozchodzić się.

Ci, co pochodzili z okolic po lewej stronie Warty, podążyli w tym kierunku. Doszliśmy do wsi Solca, aby się tu przez rzekę przeprawić. Tu się dowiedzieliśmy, że po drugiej stronie rzeki od Śremu aż do Pogorzeliczy rozłożony kordon wojska pruskiego, i że wszelkie łodzie zabrane przez wojsko.

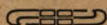
Dotąd przyszliśmy prawie wszyscy jeszcze uzbrojeni, lecz, widząc niemożność dalszego się posuwania, kosynierzy swe kosy zakopali na polach, lub potopili w Warcie.

Wielu strzelców swą broń także zakopało, lub porozbijało. Oddziały zaś, które wyruszyły ku Rogalinowi, nie mogąc się przedostać przez silne oddziały pruskie, koło Zaniemyśla, Środy i Kurnika także swą broń ukryły i porozchodziły się. Tak

więc ukończyła się ta wojna, której fatalnego obrotu na początku nikt się spodziewać nie mógł, boć nasze uzbrojenie sami Niemcy wywołali i początkowo mu przyklaskiwali. A teraz po rozejściu się nastąpi dla każdego wiarusa czasy prześladowania i znęcania się tutejszych Prusaków, którzy jakby się mścić chcieli za przeżyte strachy. Bo że Niemcy bardzo dużo strachu przeżyli przez tę parę tygodni, można sobie wyobrazić, gdy sobie przypomnieli ile już zawinili przeciw nam i że za to mogliśmy się chcieć pomścić.”

---

**OPOWIADANIA NIEMCA**  
*o r. 1848.*



**AMAZONKI.**



## I.

Spędzając wakacje w Poznańskim, wypadkowo zapoznałem się z panem Schwyttayem starcem przeszło 70-letnim, Niemcem, urodzonym i wychowanym w Księstwie, który podczas pamiętnego 1848 roku był uczniem gimnazyum w Trzemesznie. Trzeba wiedzieć, że Trzemeszno było w owej epoce pierwszym po Poznaniu ogniskiem ruchu rewolucyjnego, co w niemałej części przypisać należy istniejącemu tam podówczas gimnazyum, które cieszyło się wielką wziętością w księstwie i liczyło kilkuset uczniów; po roku 1848 skasowano gimnazyum, a raczej zamieniono je na progimnazyum z paru najniższemi klasami.

Naturalnie niemal pierwszym pytaniem, które, po zapoznaniu się, zrobiłem panu S., było zapytanie, czy był świadkiem wypadków, które tak krwawemi zgłoskami zapisały się w historyi księstwa Poznańskiego. Okazało się, że widział zbliżka i przechował w pamięci cały szereg faktów, dotąd nie opublikowanych, które zasługują na przekaza-

nie historii nietyle może ze względu na swą doniosłość, gdyż ta nie jest pierwszorzędna, ile ze względu na to, że posiadają niezwykle żywy koloryt i barwność, której w niczem nie przyćmiły minione 55 lat.

„Przedewszystkiem muszę panu powiedzieć — mówi pan S. — że wspomnienia moje tyczą jedynie bardzo szczupłego terenu i ograniczają się jedynie do szeregu wypadków, których widownią było Trzemeszno.”

„A z pomiędzy tych nielicznych faktów—odpowiadam—niech mi pan opowie tylko te, na które pan własnemi oczyma patrzył. Aby zaś ułatwić opowiadanie i wprowadzić pewien porządek, proszę, niech się pan trzyma chronologicznego biegu wypadków, tak jak się one rozwijały przed pańskimi oczyma. Jak się zaczęło w Trzemesznie powstanie?”

„Jak sobie pan pewnie przypomina—zaczyna opowiadanie pan S., nie spostrzegając wcale, że ja sobie absolutnie nie przypominać nie mogę z wypadków owoczesnych,—jak sobie pan przypomina, wiosna w roku 1848 rozpoczęła się niesłychanie wcześnie. W naszym ogródku w Trzemesznie, pamiętam jak dziś, groszek pachnący kwitnąć począł w najlepsze w marcu. Dni były słoneczne, jasne, ciepłe. Niedarmo też wiosnę 48 roku nazwano wiosną ludów. W naszym Trzemesznie, dzięki dobrej komunikacyi z Poznaniem, wnet po owym 18 marca, który był dniem rewolucyi w Berlinie, zaczęło się zaznaczać pewne poruszenie umysłów. Już 20-go marca, wychodząc z murów gimnazyum, aby zda-

zać do domu, zauważyłem, że coś wisi w powietrzu. Spostrzegłem kilka obcych twarzy na ulicach, w kilku handlach i gościńcach żywo rozprawiali ze sobą ludzie, znani mi ze swej małowówności, przez otwarte drzwi dolatywał na ulicę gwar głosów.

„Przechodząc koło jednego z handlów kolonialnych, spostrzegłem we drzwiach pewnego obywatela ziemskiego z okolicy, Polaka, osobiście mi znajomego, kolegowałem bowiem z jego synami.

„Ujrzawszy mnie, przywołał mnie skinieniem ręki. „Jak się masz, chłopcze—powiada — idziesz na obiad do domu? Chodź, wypij z nami kieliszek wódki, lepiej ci będzie smakowała wasserzupka.“ Wchodzę, spostrzegam dość liczną kompanię. Mój znajomy przedstawia mnie w tryumfie: „Ten oto młodzieniec będzie walczył pod sztandarem polskim.“ „Brawo! brawo! chłopcze”—wołają obecni, na co ja mówię: „Ale ja jestem przecież Niemcem!“ Na to powstał śmiech i wołanie wokoło stołu: „Nic nie szkodzi! nie nie szkodzi! Wypij chłopcze, zdrów i wołaj: Niech żyje Polska!”

„Na tak grzeczne zaproszenie wypilem spory kielich wybornej nalewki, zawoławszy przedtem: „Niech żyje Polska! (mówilem bowiem niegdyś wcale dobrze po polsku) i, pożegnawszy się z jowialnymi jegomościami, poszedłem na obiad do domu. Ojciec mój, który z racyi urzędu swego miał stosunki z okolicznymi obywatelami i był przez nich lubiany, mówił przy stole, że ni ztąd, ni zowąd wielu okolicznych dziedziców zjechało się do Trzemeszna, choć dzień bynajmniej nie tłómaczył ich

obecności w mieście. Coś wisiało w powietrzu, jak mównią.

„I może jeden jedyny tylko człowiek w całym Trzemesznie nie miał najmniejszego pojęcia o tem, że się „na coś zanosi” — a człowiekiem tym był reprezentant władz administracyjnych rządowych, — landrat, czyli, jak mówiono podówczas, konsyliarz ziemiański, nazwiskiem Illing.

„Stało wtedy w Trzemesznie załogą kilka kompanii 14-go pułku piechoty liniowej; a że sytuacja w całym księstwie była zaraz po 18-m marca bardzo niepewna i wojska mało, nadeszło więc do Illinga zapytanie z góry, czy powiat jego jest spokojny, czy nie zachodzi obawa rozruchów i czy w razie danym możnaby odkomenderować wojsko do miejscowości bardziej zagrożonych. Illing odpowiedział na to, że w jego powiecie panuje niczem niezamącony spokój, i że wojsko jest zupełnie niepotrzebne. Wobec tak kategorycznego oświadczenia odwrotną pocztą nadeszło od komendy wojskowej do załogi polecenie wymarszu z Trzemeszna do Gniezna, gdzie miał być jeden z koncentracyjnych punktów wojskowych sił pruskich.

„Niewzłocznie otóż załoga wojskowa opuściła Trzemesznę. Jak teraz pamiętam, był to dzień targowy, gdy rano wymaszerowało wojsko z Trzemeszna. Daty ściśle oznaczyć nie umiem, ale łatwo ją znaleźć, targi bowiem bywały wówczas w Trzemesznie co wtorek i co czwartek. Był to pierwszy dzień targowy w 5 — 6 dni po 18-m marca, t. j. po wybuchu rewolucyi w Berlinie.

Wymarszu wojska nie widziałem, byłem za to

świadkiem zajścia, które nastąpiło bezpośrednio po wymarszu wojska, a które śmiało nazwać można początkiem powstania w powiecie i w Trzemesznie. Jak rzekłem tedy, był to dzień targu; rynek oraz przylegający do rynku a znacznie większy od niego plac przed gmachem starego gimnazjum pelen był mieszczan oraz włościan z okolicy, którzy, jak zwykle, przybyli na targ z wiejskimi produktami.

„Pomiędzy godziną 10-ą a 11-ą przed południem, gdy właśnie większość ludzi, po załatwieniu interesów zebrała się do tego, aby przy kieliszku omówić nowinki polityczne, dał się nagle słyszeć silny tentent kilku koni, jadących wyciągniętego klusa po szosie, prowadzącej z Trzemeszna do Jankowa, majątku podówczas państwa Koszutskich. Z ciekawością, a zarazem oczekiwaniem wyciągają bliżej stojący ludzie swe szyje w kierunku, z kąd dolatuje tentent. Tentent w równie szybkim tempie rozlega się po kilku uliczkach, prowadzących do rynku... Jeszcze chwila — i pomiędzy zgromadzony tłum ludzi wpadają na plac przed gmachem starego gimnazjum trzy amazonki na spienionych wierzchowcach. Podobieństwo, zachodzące pomiędzy nimi, świadczy, że to są siostry. Buziaki zaczerwienione skutkiem szybkiej jazdy, włos rozwiany, oko iskrzące entuzjazmem—wszystkie trzy piękne, jak owa wczesna wiosna.

„Najstarsza mogła mieć podówczas lat 25, najmłodsza 16.

„Zanim zdolały zaczerpnąć w płuca powietrza i słowo pierwsze wymówić, aby zebranemu tłumowi

wi obwieścić dobrą nowiną,—zanim ich spienione rumaki zdążyły spokojnie stanąć w miejscu,—amazonki te z zawieszonych u siodeł torb pełnemi garściami wydobywać i rzucać poczęły w tłum — białoczerwone kokardy... setki i setki tych kokard fajerwerkowym deszczem spadały pomiędzy tłumem zgromadzonym na rynku.

„Wnet z setek piersi wyrwał się okrzyk: „Niech żyje Polska!” i przy każdej czapce błysnęła powstańcza kokarda.

„Taki był początek rewolucyi w Trzemesznie: biało-czerwona kokarda sama przemówiła do ludu—i lud jej mowę zrozumiał.

„W kilka chwil potem, jakby z pod ziemi, wyrosły setki kos już naprostowanych i osadzonych na drzewcach sztorcem: był ich bowiem znaczny zapas schowany w piwnicach starego gimnazyum, przygotowanych zapewne jeszcze na rok 1846, na nieudany spisek Mierosławskiego.

„Pierwszy ten akt powstania w Trzemesznie zakończył się... tańcem.

„Trzeba bowiem trafić, że na targ przybył z kądeś wędrowny kataryniarz, aby zarobić parę groszy. Biorąc udział w powszechnym zapale „podciął sobie” cichaczem parę kieliszków i w niebywałem tempie, jakby jaką galopadę, zaczął na swej katarynce rżnąć „Jeszcze Polska nie zginęła” — jedyną pieśń, z której składał się jego repertuar.

„W jednej chwili opróżniono środek placu gimnazyalnego, szeregi kosynierów, jakby jakich halabardników, stanęły w czworobok, nasze amazonki zeskoczyły z siodeł, przyszpiliły do pasków powłó-

czyste brzegi sukien—i przy pełnych ognia dźwiękach pieśni legionów rozpoczęły tańce na ramieniu chłopów.

„Czapki fruwały w górę, rozległy się okrzyki: Niech nam żyją!—a one, niezmordowane, jednego po drugim chwytaly tancerza w sukmanie...

„Każdy chciał parę razy wokoło „zawinąć“ z jedną z tych tancerek—a one rade każdemu podawały ramię.

„Zapyta pan, kto były te amazonki?

„Były to siostry, panny Koszutskie, z pobliskiego Jankowa, które dowiedziawszy się, że wojsko z Trzemeszna odchodzi, pewnie całą noc szyły kokardy biało - czerwone, aby wnet po wymarszu Prusaków pokazać księstwu, że Trzemeszno nie ostatnie przecie pośród miast polskich.

„Patrzyłem wtedy na to wszystko, stojąc na uboczu, jako młodziutki gimnazysta — kończy swe opowiadanie mój starowina—ale i dziś sobie przypominam, żem oczu nie mógł oderwać od tych trzech panien, z których jedna piękniejsza była od drugiej: najstarsza—jak rozkwitła róża w pełni blasku piękności, najmłodsza—jako świeży pączek różanego kwiecia... O! gdybym tylko był w stanie dźwignąć kosę, poszedłbym był pewnie, choć Niemiec, w szeregi powstańców, aby tylko jedna z nich zecheiała raz ze mną tak zatańczyć, jak tańczyła z tymi chłopami. Takie były śliczne. A zwłaszcza ta najmłodsza”.

I starowina na samo jej wspomnienie mlasnął językiem i westchnął: „Dziś już takich niema!”

— „Zkąd pan wie, czy niema”—pytam go.

— „Zkąd wiem?—rzecze i śmieje się stary.—  
Bardzo proste. Gdyby dziś w Polsce było 25 takich  
kobiet jak te trzy w Trzemesznie, żaden rząd nie  
utrzymałby Polaków w karbach.. Myśli pan, że ja  
was nie znam, Polaków! wasze kobiety to urodzone  
rewolucyonistki, ba, to rewolucya sama! A przy-  
najmniej były takimi niegdyś, za moich czasów.

„Ale prawda i to, że konna jazda dziś wy-  
chodzi z mody, natomiast zjawia się rower. Wyo-  
braź pan sobie tylko podówczas te trzy rewolucyo-  
nistki zamiast na koniach—na rowerach, a przeko-  
nasz się pan, że nie byłoby wcale rewolucyi w Trze-  
mesznie”.

---

ДЗВОНУ.



## II.

„Od chwili, gdy proklamowano powstanie przez rozdanie kokard i kos na placu przed gimnazjum, aż do chwili, gdy wojskō pruskie stanęło znów pod murami miasta, Trzemeszno nie było widownią żadnych zajść wybitniejszych, któreby mi utkwily w pamięci.

„Wiem tylko, że niezwłocznie po uzbrojeniu włościan i mieszczan utworzył się w Trzemesznie komitet narodowy, który objął rządy miasta.

„Już nazajutrz ukazała się na rogach ulic proklamacya w polskim i w niemieckim języku, w której komitet oznajmiał mieszkańcom, że objął ster spraw miasta i pieczęć nad bezpieczeństwem mieszkańców w imię wolności, równości i braterstwa. Spokoju nigdzie nie naruszono, żadnego sklepu w imię równości nie zrabowano, żadnego Żyda w imię braterstwa nie obito. Komitet składał się z ludzi poważanych i rozważnych.

„Pierwszym czynem komitetu było złożenie

wszystkich dotychczasowych urzędników z urzędów. Niektórzy zostali nanowo zatwierdzeni przez komitet, inni, mianowicie Niemcy, woleli Trzemeszno opuścić. Jedyne jeden mój ojciec—mówi p. S.—pozostał w Trzemesznie, choć był urzędnikiem, mianowicie sądowym,—inni wszyscy urzędnicy Niemcy dali drapakę; nikt im nie przeszkadzał w opuszczeniu miasta, ani żadnemu nie obłożono majątku aresztem.

„Jedynie wszystkie kapitały, znajdujące się w kasach państwowych, i należące do państwa depozyty komitet zagarnął w swoje posiadanie; depozyty zaś prywatne i sierocińskie, znajdujące się w kasach sądowych, pozostały nienaruszone.

„Jedynym ekscesem, zrozumiałym zresztą, jakiego dopuścili się powstańcy w Trzemesznie, było zrywanie i niszczenie orłów pruskich z budynków rządowych. W chwili właśnie gdy komitet *in pleno* udał się do gmachu sądu, aby obłożyć sekwestracją kapitały rządowe, kilkunastu żwawych chłopców zakrzętnęło się około tego, aby z czarnych pruskich orłów drewnianych czy żelaznych zrobić potrawkę w rynsztokach miejskich. Zrobili to tak szybko, że gdy w pół godziny później komitet opuścił gmach sądu, już w całym mieście ani na lekarstwo nie znalazłby orła czarnego.

Zresztą o administracji miasta wówczas nie wiem, pamiętam jedynie, że żadnych gwałtów nie popełniano ani nie naruszono spokoju.

„Niezależnie od komitetu lokalnego był w Trzemesznie osobny komendant wojskowy, pod którego pieczęą pozostawały powstańcze siły zbrojne. Ko-

mendantem tym był w Trzemesznie pan Strzelecki, właściciel pobliskiego Brzozowca, były oficer. Pod jego to komendą pierwszego dnia zaraz zorganizowały się oddziały powstańcze. Jądro sił zbrojnych stanowili kosynierzy, w miarę zasobów koni tworzone szwadrony konnicy, a w miarę zapasów broni palnej—oddziały strzelców. Konnica uzbrojona była przeważnie tylko w lance. Zaraz pierwszego dnia po dokonaniu zaciągu na znanym już nam placu gimnazyalnym, żołnierze nowozacieżni z pomiędzy siebie wybrali podoficerów i oficerów, których zatwierdził komendant.

„Wszystkich razem było żołnierzy powstańczych do tysiąca ludzi. Pobierali z kas komitetu żołd, dostawali naturalnie jedzenie i umundurowanie. Biwakowała główna ich część na olbrzymim placu gimnazyalnym, a z gmachu sądowego zrobiono koszary, nie zadając sobie wielkiego trudu z uprzętaniami papierów i dokumentów: Gdzie jakie papiery były, tam pozostawiono je nietknięte, lub, co najwyżej położono na nich sienniki dla wojaków powstańczych.

„Mój ojciec—mówi p. S.—był trochę pedantem i całą swą duszą tkwił w swych papierach sądowych. Ztąd też lament wielki, gdy się dowiedział, że rozkwaterowano kosynierów w biurach sądowych. Do biura naturalnie nie chodził, bo biura nie funkcjonowały, więc cały dzień w domu kręcił się wkółko, powtarzając wciąż tylko: „Moje papiery! moje papiery! Oni tam poniszczą moje papiery!” Cała rewolucya go mało obchodziła, jedynie tylko mu chodziło o to, aby jego papierów sądowych mu nie

poniszczono. Powiadam więc do niego: „Co ojcu po papierach, choćby i zostały uratowane, jeśli całe Prusy tu wywróca koziółka?” A na to mnie ojciec zburczał, mówiąc: „nie znasz się na tem, smarkaczu: państwo całe może upaść — to jest polityka. Ale papiery sądowe powinny pozostać nienaruszone, choćby dziesięć państw jedno na drugim wywręcało koziółki”.

„I co pan powie: gdy po kilku tygodniach opróżniono gmach sądowy, w porze najmniej odpowiedniej do pokazywania się na ulicy, mój ojciec pobiegł do sądu nie dbając na żadne niebezpieczeństwo, a w kilka chwil był już w domu znowu, z twarzą tryumfującą i rozjaśnioną: papiery swe drogie znalazł nienaruszone i nieuszkodzone, wszystkie tak, jak był pozostawił. I faktycznie okazało się, że ani jednego świstka z papierów sądowych nie brakło, pomimo, że setki powstańców kwatrowały w gmachu sądowym!”.

„Dziwny to tworzy kontrast ze zniszczeniem pałacu, biblioteki i cennych zbiorów hr. Raczyńskich w Rogalinie przez żołnierzy pruskich” — wtrąciłem — na co pan S. odrzekł tylko: „Nie przerywaj mi pan” i ciągnął dalej:

„Komitet narodowy napotkał nieprzyjaciół w kilku awanturnikach miejscowych; był w Trzemesznie niejaki Kwaś, introligator, intrygant pierwszej klasy, denuncyant i najgorszej opinii człowiek. Temu i kilku innym ludzicom postępowanie komitetu względem Niemców było niedość radykalne; zdaniem jego powinien był komitet Niemców i Żydów kazać wyrznać ich majątek skonfiskować, rozpo-

czać erę teroru. Jątrzył też mieszczan przeciw komitetowi. Dostał za to ostrzeżenie, że może być stawiony przed sąd za zdradę, jeśli się nie uspokoi, a w parę dni później w celu ugruntowania powagi komitetu pojawiła się odezwa, w której komitet ostrzega każdego, Niemca, Żyda, czy Polaka, że „kto się poważy paraliżować działania komitetu, tego krew skrzepnie w rynsztokach miejskich”. Dla podwyższenia powagi sprowadzono, licho wie zkąd, prawdziwego kata, który, odziany w czerwoną togę, przechadzał się po ulicach miasta poważnie, znamionując, że komitet nie pozwoli żartować z siebie.

„Naturalnie żadnej egzekucyi ten kat nie wykonał, ale na dzieci i kobiety marsowa jego postać i szeroki czerwony, krwawy płaszcz robił kolosalne wrażenie. Więcej niż raz jeden widziałem jak trzemeszeńskie kumoszki żegnały się znakiem krzyża, spotkawszy przypadkiem na ulicy tego „czerwonego pana”.

„Oprócz wrażenia tej sylwetki przechadzającego się kata w czerwonej todze, najsilniej mi utkwiło w pamięci z czasu owego panowania powstańców w Trzemesznie — wspomnienie dudniących głucho dzwonów na trwogę. Nie ma pan pojęcia, co to za wrażenie robi na człowieku, gdy się tak nagle odezwą wielkie dzwony hasłem trwogi i jęczą głucho *bum, bum, bum* — jakby z pod ziemi wydobywając jęki i płacze.

„Zapoznałem się z tem uczuciem w pierwszym tygodniu po zorganizowaniu się komitetu narodowego.

„Trzemeszno leży na pochyłości, z której

wierzchołka można jak na dłoni ogarnąć okiem miasto, naodwrot też zbliżający się nieprzyjaciel zdala już staje się widoczny dla mieszkańców miasta.

„Raz po raz otóż na wzgórzu pojawiały się wedyty pruskie, wysłane na rekonesans przez siły zbrojne pruskie, które, nie znając sytuacji w Trzemesznie i siły nieprzyjaciela, trzymały się w rezerwie. Ale nasi powstańcy byli czujni i ilekroć tylko na wzgórzu zdala pojawiło się choćby paru huzarów, brano ich za przednią straż następującego nieprzyjaciela i uderzano w dzwony na trwogę. Na ten głos alarmu tormowały się szeregi powstańcze, brzęczały kosy i mały oddziałik kawaleryi polskiej wyruszał na spotkanie tej pikiety. Co zobaczywszy huzarzy pruscy z punktu zwracali konie w tył i dając ostrogi w jednej chwili już znikali.

„Nieraz pojawiali się oni tylko jakby na drwiny, tylko jakby chcąc dokuczyć nieprzyjacielowi: stając na wzgórzu wymachiwali zdala pikami, a gdy zaalarmowali całe miasto, znikali jak wiatr, aby się nazajutrz znów pojawić. A zawsze gdy te sylwetki pojawiały się na tle nieba, widoczne zdala, jak na dłoni, w mieście odzywały się dzwony na alarm: *bum! bum!*

„Pomimo, że ten fałszywy alarm codziennym był u nas zjawiskiem nie mogły się do niego w żaden sposób przyzwyczaić kobiety. I niech-no tylko po swojemu zaczęły jęczeć dzwony, a wszystkie kobiety w podeszłym wieku, ile ich tylko było, zaczęły akompaniować dzwonom swem jęczeniem, płaczem i wzywaniem wszystkich świętych na ra-

tunek, i zawodzeniem, które słyhać było na każdym kroku: „Już się idą bić! Już idą! Boże, ratuj nas!”.

„To przerażenie, jak się zdaje, udzieliło się i dzwonom, bo od tego ciągłego dudnienia popękały rzetelnie, zanim pierwszy Prusak znowu wkroczył zbrojno do miasta”.

---



***WE DWA OGNIE.***

<http://rcin.org.pl>



### III.

„Żywo utkwily mi w pamięci szczegóły potyczki, którą stoczyli powstańcy w Trzemesznie z regularnem wojskiem pruskim.

Po kilkunastu dniach bowiem wysłania pod Trzemeszno luźnych rekonesansów, Prusacy zdecydowali się uderzyć na miasto i wziąć je szturmem. W tym celu porozumiała się komenda wojskowa sił, zgromadzonych w Gnieźnie, z komendą załogi Mogilna, położonego z drugiej strony — aby równocześnie z obu stron uderzyć na Trzemeszno.

Pewnego otóż dnia—daty nie pomnę—ukazały się nagle pomiędzy 9-tą a 10-ą rano z obu stron Trzemeszna pułki pruskie, a mianowicie—po szosie wiodącej z Mogilna zbliżał się 14-y pułk piechoty liniowej, a z drugiej strony, od Gniezna posuwał się 21 pułk piechoty, wzmocniony kilku szwadronami kawaleryi, oraz artyleryą. Kawaleryi trochę prowadził ze sobą i pułk cztertnasty.

Uderzono na alarm, oddziały powstańcze zaczęły się szykować do boju. Pułk 14-ty rychlej się zbliżył do miasta niż 21-y; to też odpór skierował

się przedewszystkiem przeciw pułkowi 14-mu. Powstańcy podzieleni na kilka oddziałów, wyszli przed miasto na spotkanie wroga, który się zbliżał podzielony też na dwa ramiona tak, aby wraz z pułkiem 21-ym zupełnie osaczyć powstańców. Dowódcy pruscy umiejętnie skorzystali w tym celu z położonych pod miastem dwóch jezior, odcinających drogę.

Konnica polska ruszyła z kopyta na Prusaków, lecz przyjął ją silny ogień plutonowy. Nie brakło wprawdzie jeźdźcom polskim odwagi i animuszu, lecz konie nie ostrzelane zupełnie spłoszyły się odrazu i zwróciły do ucieczki. Cóż począć może jeździec i to bez siodła, a często bez butów, uzbrojony w pikę—przeciw ziejącemu ogniem plutonowym nieprzyjacielowi, jeśli przytem walczyć musi z własną szkapą, nieobebraną z odgłosem strzałów? To też atak polskiej konnicy zmienił się po chwili w ucieczkę ku miastu i to ucieczkę, w której większa część tych improwizowanych kawalerzystów pogubiła czapki.

Tymczasem wyprowadzenie kosynierów za miasto, na spotkanie nieprzyjaciela, a zwłaszcza zaś podzielenie ich na kilka osobnych oddziałów wydało opłakane owoce: gdy bowiem jeden oddział, przeźrebiony ogniem plutonowym, na który nie mógł niczem odpowiedzieć, cofał się w nieładzie do miasta—drugi oddział znalazł się całkowicie odcięty od miasta jeziorami i maszerującym na miasto nieprzyjacielem: jedyna jedna strona pozostawała jeszcze wolną — mianowicie grzązkie bagna, pokryte zwo-dniczą trawą. Nie chcąc się poddać Prusakom, pró-

bowano przejścia przez bagna na drugą stronę, z kądem łatwa była komunikacya z miastem. Lecz płonna nadzieja!

W moich oczach (patrzyłem na ten punkt z okna piętrowego budynku w mieście, mówi pan S.) — jeden po drugim pogrążali się nieszczęśni kosynierzy w bagna, aby więcej nie ujrzeć światła dziennego. Ilu ich tam zginęło, trudno powiedzieć: w bagnach tych po dziś dzień tkwią szkielety tych, co zniknęli wtedy bez śladu: w niektórych miejscach tylko czapka kosynierska, zawieszona na kiściach tataraku wskazywała, że tu zniknął na zawsze człowiek.

Tymczasem główna część 14-go pułku posuwała się niepowstrzymanie ku miastu i wkroczyła już w jego mury, pędząc przed sobą kosynierów. Jedyne Nieliczni (z powodu braku broni palnej) strzelec polscy, którzy zajęli pozycyę w opłotkach i za drzewami na przedmieściu, stawili poważniejszy opór — lecz nie na długo.

W kilka chwil później pułk 14-ty, poniosłszy niewielkie straty (około 30 ludzi) dotarł aż do rynku, powstańcy zaś zgromadzili się na pobliskim olbrzymim placu przed gmachem gimnazjum, gdzie istotnie silny stawić mogli opór w walce z blizka i w obrębie budynków miejskich.

Lecz tymczasem 21-y pułk, idący z Gniezna, zbliżył się z drugiej strony do miasta, a mając ze sobą artyleryę, wymierzył z góry paszcze swych armat wprost w zbitą masę ludu na placu gimnazyalnym.

Położenie było wysoce krytyczne.

Wtem do komendanta pułku 21-go dopadła

sztafeta, goniąca go w trop po wymarszu z Gniezna: był to wyższy oficer, wysłany z wieścią o umowie jarosławickiej, czyli zawieszeniu broni pomiędzy Prusakami a Polakami. Wiózł on kategoryczny rozkaz generała Willisena, aby wszelkie kroki wojenne natychmiast przerwano, otrąbiono pokój i aby pułki pruskie cofnęły się do okolicznych wsi. Powstańcom w Trzemesznie, na mocy ugody z centralnym komitetem, zawarowano 48 godzin pobytu w mieście i wymarsz do Wrześni, przeznaczonej na jeden z obozów polskich.

Ale oficer generała Willisena ciężką miał sprawę, zanim zmusił pułk 21-szy do posłuszeństwa, komenderujący prosił koniecznie, aby choć jeden jedyny strzał armatni pozwolono mu dać do powstańców... Strzał armatni do zbitej na placu cizby! To kilkadziesiąt ludzi zabitych i ranionych!

Lecz rozkaz był kategoryczny i po otrzymaniu go nie wolno było dać ani jednego strzału; oficer Willisena był na tym punkcie nieubłagany, a komendant pułku wrywał sobie włosy z rozpacz, że cofać się musi, nie dawszy ani jednego strzału.

Odezwały się trąbki donośnym głosem: „Spuścić kurek” (*Hahn in ruh*) i umilkła strzelanina; pułk 14-ty również natychmiast zaprzestał ognia. Oficer Willisena powiewając białą chusteczką podjechał do powstańców i zakomunikował zawieszenie broni, zawarte przez centralne władze powstańcze.

W kilka chwil potem Prusacy opuszczali miasto i rozlokowali się w okolicznych wioskach.

Wyznaczonych 48 godzin na przygotowywanie wymarszu do Wrześni użyli Polacy przedewszyst-

kiem na pozbieranie rannych i urządzenie lazaretu.

Rannych było w lazarecie, naprędce urządzo-  
nym w gmachu starego gimnazjum, 200—300 ludzi.  
Wielka część ich miała rany bardzo niebezpieczne  
i przyplącała je śmiercią. Oprócz tego pewna licz-  
ba rannych znalazła schronienie w domach prywat-  
nych.

Ponieważ — jak rzekłem — najwięcej ofiar po-  
chłonęły bagna, a te trupów nie wydają, ogólna  
liczba zabitych, których pozbierano na placu boju,  
nie przenosiła 40. Ciała te widziałem tegoż dnia  
ułożone w kilku rzędach na cmentarzu.

Pochowano je we wspólnym grobie, ciała zaś  
poległych żołnierzy pruskich oddano nazajutrz Pru-  
sakom. Spoczywają — bez względu na wyznanie —  
na ewangelickim cmentarzu.

Przed upływem 48-u godzin od otrąbienia za-  
wieszenia broni powstańcze oddziały wymaszerowa-  
ły w największym porządku i z muzyką do Wrze-  
śni, którą obrano za jeden z koncentracyjnych punk-  
tów sił zbrojnych polskich.

Przed wymarszem jeden tylko zaszedł godny  
pożałowania wybryk.

Był w Trzemesznie niejaki Szmul Kutnowsky,  
Żyd niemiecki, lichwiarz i niepoń, którego z pew-  
nem prawdopodobieństwem podejrzewali Polacy  
o szpiegowanie; on to prawdopodobnie wskazał  
zbliżającemu się do miasta 14-mu pułkowi ową nie-  
szczęsną, nieznaną drużkę, którą idąc, Prusacy od-  
cięli część kosynierów i wpędzili ich w bagna.

Ten Kutnowsky miał brata, bardzo podobnego  
z twarzy i powierzchowności, ale bardzo porządne-

go człowieka. Podczas gdy ów przypuszczalny zdrajca schowany siedział gdzieś w piwnicy. Brat jego, nie poczuwając się do żadnej winy, przechodził spokojnie właśnie przez rynek, gdy formowali się strzelecy.

Ktoś zawołał: Patrzcie, idzie ten zdrajca! Na te słowa jeden ze strzelców, nazwiska nie wiem, z zawodu kominiarz, woła do przechodzącego: Czy ty jesteś Kutnowsky?

Zapytany odpowiada: Jestem!

W tej chwili pada strzał i Kotnowsky z roztrzaskaną głową pada na wznak.

Gdy potem ogólna amnestya, z której—nawiasem mówiąc—skorzystali więcej Prusacy niż Polacy, położyła kres dochodzeniu sprawy tego czynu, ów brat zabitego, ten właśnie, dla którego przeznaczona była kula, procesował się z rządem pruskim, żądając ileś tam tysięcy odszkodowania za śmierć brata.

Parę innych szczegółów, dotyczących potyczki, rezerwuje sobie na przyszły raz—mówi do mnie pan S. i na tem kończy swe opowiadanie.”

---

DWA TYPY.



#### IV.

„Utkwiły mi głęboko w pamięci dwie sceny z potyczki w Trzemesznie:

W obu maluje się dosadnie niesłychana zaciętość żołnierza-Polaka, mianowicie z warstw niższych, a to bez względu pod jaką chorągwią walczy. Niech się panu czasem nie zdaje, że żołnierz Polak tylko pod polską chorągwią potrafił dokazać cudów odwagi—mówi pan S. do mnie, a ja mu odpowiadam z westchnieniem: „Znaną mi jest dostatecznie rola, jaką niestety, odegrały pułki poznańskie w ostatniej wojnie prusko-francuskiej pod Wörth.”

— A widzi pan—mówi mój znajomy i ciągnie dalej:

— Mój brat służył właśnie w tym 19-ym pułku piechoty, który w potyczce trzemeszeńskiej brał tak wybitny udział i od niego wiem niektóre bliższe szczegóły spotkania. Mianowicie — w pułku 14-ym służyło dużo żołnierzy-Polaków, tak, że zachodziła poważna obawa, czy zamiast zaatakować powstańców, całe setki nie przejdą na stronę polską. To też generalna komenda wydała tajny rozkaz, aby mieć Polaków żołnierzy na baczności i strzelać nie-

zwłocznie do każdego, któryby przed bojem lub podczas walki chciał przejść na stronę powstańców.

Lecz obawy te były płonne, bo nie podbudzać, lecz hamować trzeba było żołnierzy pruskich polskiego pochodzenia, z taką zaciekłością szli na przód.

Lecz wszystkich innych przewyższył pod tym względem żołnierz-Polak, nieznanego mi nazwiska, który należał do kompanii kapitana Stegemanna. Ten człowiek doszedł już nie do zaciekłości, ale do istnej bestyalności.

Kompania pod wodzą kapitana Stegemanna była jedną z pierwszych pułku 14-go, które, pędząc przed sobą powstańców napowrót do miasta — weszły na rynek i tu stanęły. To też w tej kompanii najwięcej pruskich żołnierzy poległo lub zostało ranionych. Część nieznaczna rozproszonych powstańców schroniła się do narożnego domu, własności Süsskinda, nie zdoławszy przedostać się na plac gimnazjalny, gdzie były zgromadzone główne siły powstańcze. A kompania Stegemanna stała właśnie przed domem Süsskinda, nie wiedząc o tem, że pełno w nim jest powstańców, przeważnie bezbronych. Lecz Flaum, kupiec żydowski, zamieszkały w sąsiednim domu, sądząc, że Prusacy są całkowicie panami boju, zbliżył się do żołnierzy i powiedział im, że w domu Süsskinda schowało się pełno powstańców. Na te słowa jeden z żołnierzy pruskich, Polak, rozwścieczony na powstańców za to, że został silnie raniony kosą w lewe ramię, chwyta swój muszkiet z bagnetem i odgrążając się powstańcom, biegnie

sam jeden na oślep do domu Süsskinda. Kapitan Stegemann zatrzymuje go: Wracaj do szeregów!

„Panie Hauptmann,” woła żołnierz: „ja te psiekrwie z nory wyciągnę!”

— Wracaj, mówię! Oni cię tam zabiją przecież!—i Stegemann zastawia wejście do domu. Lecz żołnierz uderzeniem kolby odbija w bok szpadę swego kapitana i znika w ciemnym wejściu domu.

Naturalnie wszyscy mają go za zgubionego.

Lecz po chwili drzwi z łaskotem się otwierają i żołnierz wychodzi, z twarzą i rękami umazanemi we krwi, wlokąc za kark strasznie pokłutego pchnięciami bagnetu jakiegoś człowieka już w podszłym wieku. O ile mi się zdaje, był to pewien dzierżawca z okolicy, który przyłączył się do powstania, choć siły mu bardzo niedopisywały.

Żołnierz rzuca go przed nogi swych towarzyszy, wybuchając dzikim śmiechem: „Oto macie jednego!”—i w jednej chwili znowu znika w bramie domu, aby wywlec nową ofiarę.

Tymczasem żołnierze radosnym okrzykiem przyjmują starca wijącego się z bólu pod ich stopami i spuszcza ją na niego grad uderzeń kolbami, z których każdeby wystarczyło, aby zabić wołu.

Zaledwie skończyli się pastwić nad nim, a ów żołnierz nowego nieprzyjaciela wynosi za kark, jak lis kury z kurnika.

Znowu przyjmuje go okrzyk: „Hura!”, a on znowu wraca po nową ofiarę; i tak sześć lub osiem razy wchodził do owego domu i za każdym razem wynosił jakiegoś powstańca lub wreszcie kobietę i dziecko; wszystkich pokłuł bagnetem, zmasakrował. Gdyby

kapitan był chciał mu zabronić wejść do domu, zakłuby i swego kapitana. Była to wręcz bestya, a nie człowiek.

Widziałem—mówi p. S.—później trupy ułożone szeregami na cmentarzu: W niektórych ciałach widniały z boku szerokie rany, oblepione całkowicie pierzem: były to przeważnie ofiary owego jednego żołnierza, który bagnetem kłuł po łóżkach; pozabijał i poranił w ten sposób ludzi, którzy się pochowali pod pierzyny.

Jak poprzednio już wspomniałem, najsilniejszy opór stawiała nacierającemu pułkowi 14 linia polskich strzelców, rozstawionych w opłotkach, za parkanami i drzewami na przedmieściu. Aby opisać panu inny epizod potyczki trzemeszeńskiej, cofnijmy się myślą do chwil, gdy szeregi pruskie, z łatwością przełamawszy opór polskiej konnicy oraz kosynierów, wkraçały do miasta przez nowe przedmieście. Tu przywitał Prusaków celny ogień garstki strzelców polskich, tak, że posuwać się naprzód można było tylko krok za krokiem, chwilami zaś kolumny pruskie całkowicie się zatrzymywały, aby wpiery wyprażyć swym ogniem wroga i nie dostać strzałów z boku lub z tyłu.

Żywa strzelanina wywiązała się przed domem, należącym do dyrektora Preussa. Dom ten otoczony był drzewami, za którymi stali polscy strzelcy, celnym ogniem hamując ruch pruskich szeregów.

Lecz ogień pruski był silniejszy i opór strzelców zaczął słabnąć. Dużo z nich padło na miejscu, niektórzy ranni uszli, unosząc życie z pod ognia

pruskiego, niejeden uzwał stanowisko za stracone i cofnął się dalej w głąb miasta.

Pomimo to jednak strzały ze strony polskiej nie umilkły całkowicie. Co chwila padał pojedynczy strzał — i nie chybiał: za każdym strzałem padał ugodzony śmiertelnie to podoficer, to żołnierz pruski.

Kompania pruska stała wciąż i raz po raz odzywał się głos kapitana: Ognia! — i ogień rotowy przesywał stanowiska strzelców polskich.

Strzały z za drzew nie milkły. Wreszcie stało się widoczne: to jeden jedyny człowiek, korzystając z zasłony, którą mu dawało szerokie, rozłożyste drzewo, sprzątał jednego po drugim żołnierzy pruskich. Co się wychyliła jego głowa, nakryta zielonym kapeluszem z sokolem piórkim — padał zawsze jeden z Prusaków, rozkrzyżowując ręce, raniony w pierś. Strzelec zaś cofał się za drzewo: był to mężczyzna tęgi, barczysty i drzewo nie dawało mu całkowitego schronienia.

Gdy spostrzeżono, że jeden jedyny ten strzelec stawia taki opór Prusakom, zabrzmiała komen-da: *Ze wszystkich luf — w niego!*. Lecz zanim dym się rozwiął, już nowy strzał padł, a za nim i drugi — i dwóch Prusaków padło bez życia.

Mój brat był wtedy przy tej kompanii właśnie i zaręcza, że wręcz niepodobieństwem było, aby ten człowiek nie był dostał *choć kilku* strzałów, bo cała kompania w niego tylko mierzyła. Lecz on oparł się tylko o drzewo, pozwalał krwi uchodzić z ran — i strzelał, i strzelał — a nie chy-

biał... Było to coś wręcz imponującego, coś niesłychanego.

Zupełnie jak w tej starej piosence o owym kanonierze polskim, co to:

„przy harmacie stał—strzelał i nabijał!  
Przyszła kula, urwała mu rękę, a on  
Przy harmacie stał—strzelał i nabijał!  
Przyszła kula inna—urwała mu głowę—  
On przy harmacie stał—strzelał i nabijał”

i tak bez końca.

Mój brat mówił, że gdyby takich więcej było, wątpi, czyby pruskie szeregi nie musiały się były cofnąć.

Jego strzały nie milkły—i nie chybiały. I jeszcze raz, i jeszcze raz zabrzmiała komenda: „Wszystkie lufy w niego—pal!” zanim ucichł ogień z jego z fuzyi, a ciało jego, w śmiertelnym uścisku obejmując drzewo, zsunęło się na ziemię. Szeroka kałuża krwi wskazywała, że z tego człowieka całkiem uszła krew, zanim z rąk broń wypuścił...

Widziałem go później wśród zabitych ułożonych na ementarzu. Był to leśniczy z pobliskich dóbr, należących do rodziny Malczewskich. Człowiek okazałego wzrostu, około 35 lat, z wyrazistą twarzą, szerokimi bokobrodami. Nosił ubranie leśniczych—ciemno-zielonej barwy”.

***GOLGOTA / GEHENNA.***

<http://rcin.org.pl>



## V.

Jak opiewała umowa Willisena, zawarta z centralnym komitetem narodowym, w 48 godzin po potyczce oddziały powstańcze opuściły w największym porządku Trzemeszno, udając się do Wrześni. Autentyczne liczby co do tych sił polskich nie są mi znane; o ile na oko ocenić mogłem—było około 800 kosynierów, stu kilkudziesięciu jeźdźców i niewielki oddział strzelców, a obok tego osobny oddział, sformowany z gimnazyastów trzemeszeńskich.

Trzeba pamiętać, że w owych czasach, w gimnazyach znaleźć można było w wyższych klasach młodych ludzi 23—26-letnich. Zwłaszcza zaś trzemeszeńskie gimnazyum, najliczniejsze w Księstwie, obfitowało w młodzież polską w kwiecie sił i wieku; młodzież ta, rzec można, bez wyjątku chwyciła za broń, tak, że oddział, złożony z samych gimnazyastów, dochodził do stu ludzi. Ba, co więcej nawet—już od roku 1846 młodzież trzemeszeńska ćwiczyła się w strzelaniu; dyrektora później rząd pociągnął do odpowiedzialności, że o tych

ćwiczeniach nie nie wiedział. Oddział gimnazystów uzbrojony był w broń palną i wraz ze strzelcami mężnie bronił dostępu do miasta wkraczającemu 14-mu pułkowi. Poukrywani po domach na przedmieściu, gimnazyści z okien i poddaszy niejednego żołnierza pruskiego położyli trupem, tak, że Prusacy musieli niejako jednego po drugim wypierać tych mężnych strzelców z ich stanowisk. To też niejeden gimnazysta podówczas poległ od kul i bagnatów pruskich. Pamiętam, jak dziś, jakie mnie opanowało wzruszenie, gdy wśród ofiar walki na cmentarzu ujrzałem, sam będąc gimnazystą, znajome mi twarze starszych kolegów — Polaków, a między innymi trupa Dalbera, którego mi było bardzo dobrze. Był to, jeśli się nie mylę, brat dzisiejszego kanonika kapituły w Poznaniu, X. Dalbora. Na twarzy miał spokój i powagę dorosłego mężczyzny; snąc ostatnią jego myślą było poczucie, że spełnił święty obowiązek. Miał pierś przestrzeloną i zdruzgotaną rękę.

Widząc wyruszający wraz z innymi oddział gimnazystów, nikt w Trzemesznie nie przypuszczał, jak straszny los spotkać miał niebawem ten kwiat młodzieży.

Niewiem po jakich perypetyach dostał się ten oddział młodzieży do Książa, aby w Książu zginąć do ostatniego człowieka.

Jak się to zaś stało, wiadomo mi z opowiadań mego brata, któremu znów opowiadali naoczni świadkowie, inni oficerowie pruscy.

Otóż podczas ataku na Książ, gimnazyści zajęli stanowisko w nieco odosobnionej stodole, ztam-

tań z boku prażyli celnym ogniem nacierające na miasto szeregi pruskie.

Gdy to Prusacy spostrzegli, ruszyli ku owej stodole. Otoczywszy ją ze wszystkich stron, uszykowali się w czworobok i z najeżonym bagnetem czekali na przyjęcie nieprzyjaciela, którego ze stodoły wywabić postanowili niechybnym środkiem — ogniem. Gdy ogniste języki lizać zaczęły ściany stodoły, a dym nappełnił wnętrze, ukazała się w otworze dachu głowa jednego z osaczonych: prawdopodobnie był to dowódca i chciał parlamentować.

Rozległa się komenda: „Ognia!” i głowa znikła napowrót w otworze.

Gorąco stawało się trudne do wytrzymania, dym gryzł w oczy. Raz po raz to kilkunastu na raz, to pojedynczo kilku gimnazyastów wyskakiwało z rozmaitych stron z tej gorejącej Gehenny: lecz kto wyskakiwał zgóry przez otwory w płonącym poszyciu ze słomy, temu Prusacy nadstawiali bagnety; kto zaś drzwiami się chciał wydostać na powietrze, tego bagnetami wtrącano napowrót w płomienie.

Tak zginęli wszyscy. Śląska landwera — jej to zwycięskie skronie czyn ten bowiem przyozdabia — do niewoli nie brała. Ile rodzin w Księstwie okryło się wówczas żałobą, któż to może zliczyć!

Po wymarszu powstańców z Trzemeszna wkroczyły do miasta siły pruskie, mianowicie pułk 14-ty. Pierwszym czynem, jakiego wojsko dokonało, było uwolnienie uwięzionych pięciu obywateli trzemeszańskich, Niemców. Zapomniałem poprzednio nadmienić o tem uwięzieniu i jego przyczynach.

W miarę otóż, gdy zwiększało się prawdopodobieństwo orężnego starcia w Trzemesznie, pospólstwo polskie, podbudzane niewątpliwie przez kogoś, kto się rządził prywatną zemstą, zaczęło się burzyć i miotać pogroźki przeciw pięciu najmniej lubianym i niepopularnym osobistościom, mianowicie kupcowi Schwanke, któremu zarzucano lichwę, sędziemu Dunielewskiemu, dyrektorowi Hellwickowi i dwom innym, których nazwisk nie pamiętam.

Zachodziła obawa, aby w jakim rozruchu tych ludzi nie zabito, posądzano ich bowiem głośno o komunikowanie się z wojskiem pruskim. Komitet więc, w porozumieniu z komendantem Strzeleckim, uważał za najstosowniejsze ich uprzedzić, że dla ich własnego bezpieczeństwa będzie najlepiej, gdy zostaną osadzeni w więzieniu. Tak się też stało. Osadzono ich w gmachu starego gimnazjum, dobrze żywiono, i włos nie *spadł żadnemu z głowy*.

Jak już wspomniałem powyżej, urządzono w obszernym gmachu starego gimnazjum lazaret dla licznych rannych. Opieką chorych zajęły się panie polskie z miasta i okolicy, dniem i nocą na zmianę pielęgnując ofiary potyczki.

Wylonił się z tego nader charakterystyczny epizod, który dosadne światło rzuca na całe położenie ówczesne.

„Plac przed gmachem starego gimnazjum, przekształconego na lazaret, był największym w całym mieście: tutaj też wnet po wymaszerowaniu do miasta zgromadził się na rozkaz dowódcy cały pułk 14-y i stanął w czworobok, wypełniając cały plac sobą. Komendant pułku, pułkownik Herrmann, sie-

dząc na koniu, wygłaszać wtedy począł przemowę do swych żołnierzy, zalecając im zachowywanie spokoju i utrzymywanie dobrych stosunków z mieszkańcami miasta, którzy nie są winni temu, że pułk 14-ty poniósł ofiary w ludziach. Zwłaszcza zaś wobec kobiet, dzieci i starców zalecał uprzejmość i łagodność w obejściu.

Właśnie w trakcie tej mowy ukazały się na zakręcie trzy postacie kobiece: były to znane nam już nierozłączne towarzyszki, trzy panny Koszutskie z Jankowa. Tym razem nie radość, lecz smutek widniał na ich twarzach, a w rękach miały nie zapasy biało-czerwonych kokard, lecz lekarstwa dla rannych. Zdążając do lazaretu, musiały przejść całą szerokość rynku—aż do gmachu starego gimnazjum i przecisnąć się pomiędzy linią murów, a linią sformowanych w czworobok żołnierzy.

Zły uśmiech zaigrał na twarzach pierwszych żołnierzy, którzy je ujrzeni: potem jeden spojrzął na drugiego, porozumieli się wzrokiem: „To one”! szepnął któryś towarzyszom i cały szereg zwrócił twarze od swego pułkownika ku tym trzem siostrom miłosierdzia.

Gdy się zbliżyły dostatecznie, cały szereg, jeden żołnierz po drugim, plwał na nie. A one nie zawróciły się z drogi, lecz przeciskając się do murów, z podniesionem czołem szły naprzód, pod grudem tych ohydnych pocisków... Święty obowiązek je wołał: tam ranni czekali na lekarstwa i bandażę!

A pułkownik Herrmann tymczasem kończył do pułku przemowę o spokojnem i godnem zachowaniu się w mieście... O ironio!

Miasto było za małe, aby móżdż zatrzymać załogę, cały pułk 14-ty. Zresztą w innych miejscowościach było potrzeba wojska. Więc po paru dniach większa część 14-go pułku znowu opuściła miasto, a wkrótce i pozostałe kompanie wyruszyły do Mogilna.

Przyszedł później oddział 21-go pułku, ale i ten nie zabawił długo: komenda wojskowa nie miała zadużo sił pod ręką, a były ważniejsze punkty, niż Trzemeszno. Więc pewnego pięknego poranku miasto miało się znaleźć całkiem ogołocone z wojskowej załogi. Powstał ztąd straszny popłoch wśród garstki niemieckich mieszczan i urzędników. Mówiono sobie: „teraz wrócą powstańcy i dopieroż zaczną nas mordować!” Żydzi robili gwałt nieopisany.

Co zatem począć? Wojsko wyruszyć musi — rozkaz był nieodwołalny. Udała się tedy deputacya Niemców do dowódcy, prosząc, aby wziął ze sobą *szkłodników* Polaków. Dowódca wziął więc ze sobą kilku najpoważniejszych obywateli i rozlepił proklamacye, że rozstrzelać ich niezwłocznie każe za pierwszą wieść o jakichkolwiek gwałtach, popełnionych na Niemcach.

---

ZWYCIĘZCY

<http://rcin.org.pl>



## VI

Niedarmo rok 48 w historyi nowożytnych Prus nosi miano „szalonego” roku, bo w rzeczy samej wszyscy—zarówno rząd, jak i poddani—na pozór, jakby byli potracili głowy.

Przypomina pan sobie, com na samym wstępie powiedział o landracie Illingu w Trzemesznie: pocziwiec ten pojęcia o tem nie miał, że cały jego powiat wręcz podminowany jest przez rewolucyę i, gwarantując za utrzymanie spokoju w swym okręgu, zażądał wycofania wojska z Trzemeszna,—na to, aby się przekonać, że w parę godzin po wymarszu żołnierzy pruskich błysnęły kosy i zagrzmiały okrzyki: „niech żyje wolność!”

Jeśli w tem zdarzeniu ujawnia się niezwykle, a wówczas bynajmniej nie wyjątkowe, niedoceniecie ruchu tlejącego pod maską spokoju—to w fakcie, którego byłem świadkiem pod koniec powstańczego ruchu, również w Trzemesznie, małuje się znów druga ostateczność—niesłychane przecenianie sił powstańczych i przesadne wyobrażenie o potędze Polaków tam, gdzie jej wcale nie było: jednym

słowem tu i tam — kompletna nieznajomość stosunków.

Fakt ten zdarzył się w Trzemesznie już w lecie, 1848 roku. Powstańcze oddziały były już wówczas w całej prowincyi rozbite, lub wzięte do niewoli—w Trzemesznie zaś schroniła się jeszcze garstka powstańców, złożona ze 100—150 ludzi, którzy nie rozeszli się jedynie dlatego, że nie wiedzieli co z sobą począć i jak nie wpaść w ręce Prusaków, wracając po kilku do domów.

Garść ta, złożona przeważnie z niedobitków rozmaitych polskich oddziałów, poczęści już nie posiadająca wcale broni, wogóle już nie przedstawiała typu wojskowego, ani nie była zdolna stawić nikomu żadnego poważnego oporu.

Ale na wieść samą o tem, że w Trzemesznie pojawili się „kosynierzy“, wyruszył w drogę ku Trzemesznu—niech się pan nie śmieje, proszę—cały korpus armii pruskiej pod wodzą generała Hirschfelda!

Żywo sobie przypominam, jak najpierw na górze, z której całe Trzemeszno można obejrzeć, pojawił się rekonesans, a w kilka chwil potem, nie widząc nigdzie wroga, kilkudziesięciu pruskich w szalonym pędzie dopadło przed samo miasto. Stanęli, obejrzeli się wokół: nigdzie wrogów niema—i, wcinając ostrogi w podbrzusza swych koni popędzili *en carrière* napowrót.

Zwołano radę wojenną, która postanowiła całą siłą wtargnąć do Trzemeszna i wywabić polskiego wroga z zasadzki, w której, oczywiście, musiał być zaczajony.

Z wyniosłego punktu generał Hirschfeld wraz ze swym sztabem długo rekognoskował miasto, tymczasem nadciągała jego piechota, artylerya, saperzy. Zatoczono armaty, dowodzący dał znak i pułk za pułkiem ruszył ku miastu...

Nigdzie oporu, nigdzie śladu zasadzki.

Żołnierzom kazano bacznie patrzeć w okna domów i strzelać, gdyby tylko zauważyli, jakie podejrzane twarze. Na samym wstępie padły dwa strzały z muszkietów pruskich: to Żydek Mozes Baschinski, krawiec, którego dom stał na skraju miasta, wychylił głowę z okna, aby przyjrzeć się żołnierzom. Dostał cały ładunek z boku w głowę w ten sposób, że, rozkrzyżowawszy ręce padł w tył na podłogę, a kawał czaszki z okrwawionym mózgiem padł na zewnątrz, na ulicę.

Krok za krokiem, ulica za ulicą, zrazu z obawą i oczekiwaniem, potem z coraz większą pewnością posuwają się szeregi pruskie w głąb miasta, ku rynkowi: wroga nigdzie ani śladu, ani śladu żadnego oporu...

Więc z przewidywanego ataku na miasto robi się przegląd sił, rewia—w mieście. Nadjeżdża generał Hirschfeld ze sztabem, zajmując miejsce na rynku, a przed nim przeciąga kompania za kompanią, z muzyką, w *parade-marschu*. Zjawia się wreszcie trochę ludności miejscowej, mianowicie Niemców. Nie przesadzam, około 6-ciu godzin minęło, zanim przez rynek trzemeszeński przeciągnął cały korpus HirsCHFelda, przeznaczony na zdobycie miasta. Wyobrażano sobie Trzemeszno widocznie, jako olbrzymią fortecę, otoczoną nieprzebytymi bagnami i sze-

roka rzeką... Hirschfeld prowadził był bowiem ze sobą nietylko kawaleryę i artyleryę, ale nawet i saperów, oraz *pontony*! Po co u licha te pontony — doprawdy nie wiem! Widocznie chciał budować mosty dla przeprawy na jakiejś rzece — nieistniejącej.

Wymarsz HirsCHFelda na „zdobycie” Trzemeszna—był to niejako ostatni akt powstania w Trzemesznie.

— Ten Hirschfeld stał załogą w Gnieźnie, jeśli się nie mylę?—pytam pana S.—i pod tą jego egidą w Gnieźnie ćwiczone powstańców kańczugiem.

— A, o tem mogę panu też coś opowiedzieć, co wiem z pierwszej ręki, choć sam tego widziałem, odpowiada pan S. i opowiada:

— Generał Hirschfeld był to człowieczek małego wzrostu, temperamentu gwałtownego i „oryginalnych” manier, co się tem tłómaczy zapewne, że podobno awansował z prostego feldfebla.

On to pierwszy w Gnieźnie, gdzie się czuł panem placu, wprowadził w użycie bat, jako symbol sprawiedliwości pruskiej dla branych w niewolę powstańców. O, nie dość, że kazał bić więźniów, ale nawet osobiście doglądał, aby egzekucya odbywała się bez litości.

Nieżyjący już obecnie Böhm, niegdyś dozorca więzienia gnieźnieńskiego, opowiadał mi o tem wiele.

Właśnie w chwili, gdy Hirschfeld zajmował Gniezno, komitet miejscowy, złożony z najwybitniejszych mieszkańców miasta, odbywał posiedzenie. Hirschfeld zaważwał członków komitetu do niezwłocznego przerwania obrad. Ci jednak, chcąc powie-

rzony sobie mandat wypełnić aż do końca, odmówili i dali generałowi odpowiedź, jak niegdyś Mirabeau, że ustąpią jedynie przed siłą bagnatów.

Generał nie dał się dwa razy prosić, odkomenderował oddział wojska i kazał członków komitetu za kark wyciągnąć z sali obrad—co też zostało literalnie uskutecznione.

Ale członkowie komitetu omylili się wielce, sądząc, że na tem skończy się historia. Bo zamiast ich puścić do domu na obiad, Hirschfeld kazał ich zamknąć na odwachu, później przenieść do więzienia, a później—osmagać batogiem.

Wykonanie tego rozkazu przypadło w udziale wspomnianemu powyżej dozorczy Böhnowi. Była to dla Böhma misya niezmiernie delikatna, bo, jako mieszkaniec Gniezna, znał członków komitetu i wiedział, że są to zasłużeni i powszechnie szanowani ludzie. Między nimi był np. radca sądu Kwadyński, już w wieku podeszłym, zwierzchnik Böhma, człowiek, na którego Böhm spoglądał jak na wyrocznie.

Nie trudno więc się domyślić, że Böhm *pro forma* chciał wykonać egzekucyę.

Ale się przeliczył.

Generał Hirschfeld bowiem o naznaczonej porze zjawił się we własnej osobie, aby kierować egzekucyą.

Baczenie patrzył, jak Böhm bije delikwentów i powtarzał ciągle: „Bij silniej, bij silniej!”

Nieszczęście chciało, że pomiędzy delikwentami, których egzekucyi przyglądał się Hirschfeld, był pan Lange, powszechnie lubiany i zasłużony

obywatel gnieźnieński, założyciel istniejącej po dziś dzień pierwszorzędnej księgarni w Gnieźnie.

Usłyszawszy nazwisko, brzmiące z niemiecka, Hirschfeld się oburzył: Jak człowiek z niemieckim nazwiskiem śmie się uważać za Polaka i do tego być członkiem komitetu!

„Bij silnie!”, wołał na Böhma, cały purpurowy z gniewu.—„Silniej już nie mogę, Ekscelencyo”, mówił Böhm, pocichu szepeząc do pana Langego: „Krzycz pan do stu dyabłów, że pana boli”.

Hirschfeld wybuchnął: „Nie możesz być silniej?”—wołał do Böhma—„poczekaj ja cię nauczę! Daj kańczug! Po każdym razie krew musi trysnąć”!

Wyrwał kańczuk z rąk Böhma i bez litości i liczby puszczał razy na nieszczęsną ofiarę.

Böhm, nie mogąc na to patrzeć, oddalił się.

Gdy się generał zmęczył i pot mu wystąpił na czoło, odwiązano pana Langego od ławki i zemdlonego poniesiono do więzienia.

A generał, ocierając z potu czoło, odwrócił się do swego adyutanta i rzekł: „Trochę ruchu mi nie zaszkodzi; zaraz apetyt będzie lepszy”.

*I poszli na śniadanie.*

# POLACY W POWSTANIU WĘGIERSKIEM 1848 roku.

(Potyczka pod Barcą w jesieni roku 1848 <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Poszukując materiałów do dziejów z 1848 w Poznaniu, w archiwum jednej z poznańskich redakcyi znalazłem przed dość dawnym czasem niniejszy barwny opis epizodu z powstania na Węgrzech. Jak można było wnioskować z listu, który się przy tem znajdował, opis ten pochodzi z pod pióra jednego z uczestników potyczki, p. Romana Gąsiorowskiego. Nie posiadając ani adresu autora, ani wiedząc, czy żyje jeszcze, ogłaszam te kartki, jako ciekawy i pelen życia dokument, poczyniwszy jedynie drobne zmiany i niezbędne skrócenia.

K. R.



Główny przymuszony pojedynek Tehórnzniekiego z fechtmistrzem armii austryackiej, skończył się śmiercią napastnika. Jakkolwiek żadna wina nie ciążyła na nim, nie czuł się jednak Tehórnznieki bezpiecznym w kraju i był zmuszony uelodzić do Węgier, gdzie już z bronią w rękę gotowano się do odparcia reakcyi.

Ponieważ Tehórnznieki sam służył w drugim pułku ułanów roku 1831, i gwardya Sanoeka, którą formował, przyjęła barwę tegoż pułku, a kilkunastu gwardzistów podążyło za nim do Węgier, postanowił tedy i uzyskał upoważnienie do formowania 2-go pułku ułanów, żeby się z nim przyłączyć do legionu polskiego, formującego się w Aradzie (na Węgrzech).

Nie było jednak czasu na to. Ani koni, ani ryszunków gotowych, a generał austryacki Schlick, już był wkroczył do Węgier i maszerował na Koszyce, gdzie się drużyna zbierała koło Tehórnzniekiego, a dokąd ze strony Węgier nadeiagała świeżo uformowana armia półnoena.

Zanosiło się na bitwę. W takim stanie rzeczy Tehórnicki zażądał od Węgrów karabinów. Dostarczono nam ich z ochotą, chociaż było kilka batalionów węgierskich uzbrojonych tylko w zaostrezone kratówki.

Nas wyprowadził adjutant wodza węgierskiego po za rzekę na górę w las.

Zajęliśmy małą w nim połoninę z poleceniem czekania dalszych rozkazów. Stałej liczby głów w oddziale potąd nie było, bo co dnia przybywali nowi ochotnicy. Czekając na dalsze rozkazy mieliśmy czas policzyć się—było nas w szeregach 82, Tehórnicki na czele.

Cóż znaczy taki oddziałek pośród 25000-nej armii, węgierskiej a jednak Opatrzność wybrała go do wybawienia całej tej armii od zupełnego rozbięcia i zabrania dział.

Oslonięci do koła lasem nie wiemy co się dzieje, dopiero huk dział uwiadomił nas, że się bitwa rozpoczęła, a po dochodzącem nas odgłosie poznajemy, że się znajdujemy na lewym skrzydle armii węgierskiej i na stanowisku wysuniętem.

Bitwa rozpoczęta, a my beczynni, nawet nie mamy rozkazu, co mamy robić, to nam nowicyuszom zdawało się nie do pojęcia. Chyba o nas zapomnieli albo rozumieją, że taka garstka w bitwie na nic się przydać nie może.

Takie przypuszczenie obraża nas. Z niecierpliwością wyglądamy rozkazu — a tymczasem huk dział z razu rześisty, z obu stron, zaczyna rzednąć po stronie węgierskiej. Nie trwało ani godziny jak umilkł z obu stron.

Różne domysły — a adjutanta z rozkazem nie widać.

Po jakimś czasie słyszymy szmer, turkot, jakiś ruch naprzeciwko nas w oddaleniu. Wysłani na zwiady donoszą, że tam za lasem z całą swobodą zwykłym porządkiem pochodowym maszeruje szosa armia generała Schlika. Górą tedy ci, co utrzymywali że Węgrzy zostali pobici, choć nikt nie mógł przypuścić, żeby to w tak krótkim czasie stać się mogło; strzału karabinowego nie słyszeliśmy ani jednego. Czyżby samemi armatami bitwa była rozegrana?

Straciliśmy już nadzieję oglądania adjutanta— ale być na placu boju, mieć karabiny i naboje, a nie strzelić ani razu, to nowicyuszom naszym wydało się hańbą, upośledzeniem. Podchodzimy tedy na koniec lasu cichuteńko i niepostrzeżeni dajemy ognia do przechodzącej właśnie artyleryi. To nie zdrada, nie podstęp, ale poprostu manewr strategiczny. Minęły te rycerskie czasy, kiedy ostrzegano przed strzałami.

Zrobiło się zamieszanie, wrzask, zgielk pomiędzy artylerzystami, bo postępujących za działami braliśmy na cel, a przeniosła wszystko natychmiastowa komenda: *Halt—abprotzen*. Ozwały się trąbki, jak wichher przeleciał wzdłuż taboru komendant i o ile możności porządek przywrócony; bo byli i tacy co na swoim stanowisku znaleźć się już nie mogli, ale podług rozkazu zaczęto odprzodkowywać działa.

Jeżeli nie kule to zmiążdżą nas od kul wałą-

ce się drzewa — tak sobie powiedzieliśmy — niema więc co stać.

Nienabiwszy nawet wypalanej broni, ruszyliśmy biegiem nazad w las po pochyłości góry. Za nami huk, trzask, łomot walących się drzew, ale my już o tyle oddaleni, że bez szwanku dobiegliśmy niższego krańca lasu i tu zatrzymaliśmy się żeby nabić broń.

Jeszcze to nie było podnóże góry i widok ztamtąd obejmował znaczną przestrzeń doliny rzeki. Niebyło już dla nas wątpliwości: haniebnie została rozproszona cała armia węgierska! W tem mrowisku tłoczącym się na most nie dopatrzysz ani jednej kompanii rejterującej w porządku. Jezdni także w nieładzie przeprawiają się wbród, a i działa omijają most.

Uszykowawszy się podążamy za rozbitkami, a zbliżając się widzimy, że kilka dział ugrzęzło w rzece i zaczynają wyprzęgać od nich konie. Pobiegl jeden z nas, żeby nie dopuścić do pozostawienia armat w rzece, a my, żeby dodać otuchy, nietylko zatrzymaliśmy się, ale nawet cofnęli i zajęliśmy opodal szosy stanowisko nie bardzo dostępne dla jazdy, gdyby się puściła w pogoń.

Niespodzianka sprawiona artylerji na górze nauczyła widać generała Schlicka lepszej taktyki: żeby nie lekceważyć armii nieprzyjacielskiej nawet takiej, w której rozsypują się bataliony od samego szumu kul działowych i w obec niej nie prowadzić armat bez należytych ostrożności. Postępował już oględniej, bo nietylko było czasu dosyć do wyprzężenia koni od dział już przeprowadzonych, założe-

nia ich do ugrzęzłych i wyciągnięcia z rzeki, ale myśmy już byli na moście, nie widząc żadnej pogoni, a ostatni przechodziliśmy przez niego.

Poganiając przed sobą resztki rozbitków doszliśmy spokojnie do Koszyc. Sklepy, bramy, nawet okiennice pozamykane, ulice puste, tylko snują się po nich rozbitki. Dobywających się do szynkowni karcimy i naglimy do pochodu, a sami nie zatrzymując się przechodzimy przez miasto, zostawiając po za sobą sporo opornych maruderów, nawet po za miastem mijamy po drodze wlokących się niedbale, których poganiać już nam się sprzykrzyło.

Pół mili za Koszycami stoi przy szosie karczma, zwana z węgierska Barcą, a po słowacku Bartówką, czy jakoś podobnie. Przed nią od strony południowej obszerny plac, od strony pół nieco łukowato okopany rowem i wałem na wewnątrz zeń usypanym, a z szosą stanowiący jedną płaszczyznę. Już z daleka spostrzegamy działa, stojące na szosie, a doszedłszy do karczmy widzimy po za nią cały plac zastawiony armatami zaprzężonemi, ale nikogo ani przy koniach, ani przy działach, wszystko w karczmy. Tam wrzawa, zgiełk—oczywiście, nie ma komendy, ani żadnego oficera, którego by upomnieć można, żeby z działami umykał, bo po przegranej batalii pościg niezawodny. Sami tedy probujemy obsługę dział wywabić z karczmy i nakłonić do pochodu, ale madziary zamiast wynosić się, częstują nas winem. Trudno było użyć przemocy i zadzierać ze swoimi.

Ustąpiliśmy z karczmy, ale nie z placu.

„Dział bez asekuracyi zostawić nie można“ — powiada Tehórzewski.

Stoimy tedy, ale luźno, przyglądając się za-  
przęgom i armatom. Było ich, jeżeli dobrze spa-  
miętał, 24, wszystkie jakie przydzielono armii pół-  
nocnej.

Nagle drzwiami, oknami nawet wypadają arty-  
lerzyści z karczmy, co żywo siadają na konie na działa  
i umykają galopem bez ładu zawadzając szynklami.  
Tehórznicki, stojący pod karczmą, woła: „Do szere-  
gów!“ Z niemniejszym pośpiechem stanęliśmy do  
szyku bojowego. We dwa szeregi zajęliśmy prawie  
zastęp od karczmy i całą szerokość drogi.

Droga równa i prosta jak strzełił, co przed  
chwilą była zaprzątnięta rozbitkami teraz czysto  
wymieciona tak, że widać w dali połyskujące hel-  
my. Chevaux-legery musieli spostrzedz umykające  
działa, bo jadą galopem, ale zwolnili jak zobaczyli  
zastawioną drogę.

„Tuj“ — wrzasnęło złowrogo 82 kurków razem  
wśród ciszy, zmaćonej tylko turkotem oddalających  
się dział za nami, a zbliżającym się tętentem koni  
przed nami.

„Nie strzelać, czekać komendy“ — odzywa się  
Tehórznicki.

Chavaux-legery, zbliżywszy się do nas na ja-  
kie 450 kroków, nagle przesadzają rów przydrożny  
i okrążają karczmę, żeby nas najechać z tyłu.  
Major austriacki, Castiglioni, dowodzący atakują-  
cym oddziałem, rozumiał zapewne, że taka ruchaw-  
ka przy zmianie frontu popłęcze się, rozluźni i nie  
będzie zdolną przywitać go strzałami. Stało się ina-

czej. Nastręczył nam przez to lepszą pozycję: wał po nad rowem. Prawie równocześnie ze zniknięciem chevaux-legerów z szosy — bez komendy rzuciliśmy się, strącając karabinami czapki jeden drugiemu, jak kto skoczył mógł w stronę wału i przystawiliśmy się do niego — wprowadzie bez porządku, jak i gdzie który dopadł, ale zasłonięci byliśmy nie niemożliwym do przesadzenia, jednak przecie rowem i wałem.

Tehórnicki, zdaje się, nie na chevaux-legerów ale na szeregi miał zwrócony wzrok, bo rozumiał, że uciekamy.

„*Co robicie?*” — wołał — ale wnet się spostrzegł i znalazł się znów pod karczumą na naszym lewym skrzydle. Pałąc cygaro powtarzał: „*Nie strzelać — czekać komendy*”. Chwilę czekaliśmy na pojawienie chevaux-legerów gotowi do strzału. Uszykowanie szwadronów zabrało, widać, nieco czasu.

Wreszcie wypadają z pewnego oddalenia dwa szwadrony, jeden za drugim, major na czele — ale szwadrony krótkim, a major wyciągniętym pędzi galopem i coraz bardziej wyprzedza swoją komendę. Odsadziwszy się od niej na dobre 30 kroków już jest od nas na kilkanaście kroków”.

„*Waffen nieder-Rebellen*” — woła — a Tehórnicki powtarza. „*Nie strzelać — czekać komendy*”. Oczywiście ci, na których nacierał, nie mogli czekać komendy.

Padł strzał i odbił grzebień od hełmu, był cokolwiek zgórowany. Tuż za nim cztery strzały razem, po dwa z obu stron pierwszego. Koń i jeździec padają, a że w pędzie, tarzają się aż do rowu, oba

trupy. Ci pięciu, co wypalili, nabijają broń; a reszta trzyma „na cel”.

Na ten widok szwadrony zatrzymały się — ani naprzód, ani w tył — nie wiedzą, co począć.

Wtedy Tchórznicki, żeby im dopomódz do zdecydowania się komenderuje: „*Drugi szereg — pal*”.

Nie staliśmy wprawdzie zupełnie uszykowani we dwa szeregi, ale każdy wiedział, do którego należy. Połowa więc wypaliła, i nabija, a druga połowa trzyma jeszcze na „cel”.

Zamieszanie — największe w środku szwadronu; tam widać była skierowana większa część strzałów. Chwieją się, pochylają, przewracają na koniach, ale szwadron ściśnięty. Ci, co ocalili, próbują nawrócić konie, ale w zwartym szeregu także nie podobna, a wyjechać naprzód, żeby uzyskać miejsca wolnego do zawrotu albo nie mają odwagi, albo też konie, przywykłe do równania się, nie chcą wystąpić z szeregu. Trwał ten niepokój kilkadziesiąt sekund, aż wreszcie kilku wycofało konie — szereg się rozluźnił i wszystko zawraca.

Tej deklaracji czekał Tchórznicki — teraz „*Pierwszy szereg — pal*”

Drugi szereg już nakłada kapsle, a ci pięciu, co pierwsi wypalili, powtórne strzały dołączyli do drugiej salwy. Już bez przeszkody padają z koni tak ofiary pierwszej, jak drugiej salwy. Drugoszerogowi nie chcą zostawić kul w rurkach karabinów. Kilku wybiega po za rów, żeby niby to zbliżyć się do uciekających, ale widocznie zimna krew i rozważa opuszcza wiarę.

Dalejże niemal wszyscy po za rów; nabijać

w biegu i ścigać uciekających, jakby już na koniach siedzieli.

Tehórznicki usiłuje powstrzymać, ale nadaremno. Padają strzały, ale mniej już celne; kule dostają się koniom—zaczynają chromać—w dali leży koń zabity, przywalił jeźdźcowi nogę, nie może jej dobyć z pod konia. Dobiegł Suryn — później kapitan w piechocie — i wziął w niewolę <sup>1</sup>sztabowego inżyniera, który znając dokładnie okolicę, dawał dyrekcyę obrotom dywizyonu. Niepotrzebnie przykląkł na wolnem kolanie, wołając „*pardon*”, bo nikt z nas nie miał pojęcia, żeby obezwładnionego, poddającego się, można mordować.

Wątpię, żeby Tehórznicki, nawołując do szeregów rozpierzchną wiarę, wiedział był już o tem, o czem myśmy jeszcze nie wiedzieli, że równoległe z dywizyonem, który nas atakował, postępował drugi drogą w odstępnie małej ćwierćmilki, po pod winnicę przeprowadzoną.

Na widok uciekających dywizyon ten szczęśliwie nawrócił; chociaż i atak, gdyby był wykonany z tej strony, wcale nie zdawał się trwożyć wiarę. Mówili potem: *„jeśli nie stałoby nam czasu do zebrania się w szeregi i zajęcia odpowiedniej pozycyi, toć nicby nam nie przeszkodziło zbiegnąć się w „jeże”, a to jeszcze lepsze od jednolitego frontu, bo i siebie i drugich można w takim razie bronąć”*.

Uśmiechnąłby się stary wiarus, gdyby słyszał tych bezwąsych nowicyuszów, uczestniczących w pierwszej bitwie a tak rezonujących o taktyce— a jednak był w tem sens. Niewiele nad 6 tygodni

upłynęło odtąd czasu, jak w bitwie pod Tarcalem także „jezami” obroniliśmy się od niespodzianego we mgle napadu kirasyerów; w liczbie wprawdzie poważniejszej, ale też i atak był natarczywszy.

Skoro uciekający dopadli szosy i przestali kłować, pędząc już wprost do Koszyc, przestaliśmy i my ich ścigać; ale i na tem nie skończyło się ukaranie chętki zabrania dział: większą połowę drogi do Koszyc przelecieli jakby pod rotowym ogniem z obu stron szosy. Rozbitki, którzy zemknęli z drogi przed chevaux-legerami i pokryli się w przyległych rowach, krzakach, za płotami, po domach — teraz nabrali ducha, chwycili za porzucone karabiny i palą do przelatujących. Dotkliwie straty musiał ponieść ów dywizyon chevaux-lagerów austriackich. Myśmy nie mieli nawet czasu policzyć poległych od naszych strzałów, bo wszyscy aż do szpakowatego pułkownika Tchórnickiego byliśmy przekonani, że generał Schlick nie przepuści nam płazem tego zuchwalstwa. Już w duchu widzieliśmy, jak za przybyciem niedobitków na koniach spienionych ładują naboje kartaczowe do jaszczyków lekkich armat konnych, zaprzęgają do nich, a kawaleria do asekuracyi przeznaczona kulbaczy konie. Takie widzenie nie mogło nie wzbudzić chęci umknięcia od Koszyc jaknajdalej, i w jaknajkrótszym czasie.

Jednak na nasz karb chciał sztab austriacki złożyć niesmaczny pomysł pozbierania trupów i ustawienia ich pod ścianą karczmy od strony szosy, przed którymi miała defilować cała armia generała Schlicka. Był to pomysł sztabu jego; bo gdyby te-

go nie chciano, a ktoś obcy był to zrobił, toć bardzo łatwą było rzeczą, pousuwać i zagrzebać trupy, przedtem nim armia tamtędy przechodziła. Ale przez wystawienie tych trupów chciano wzniecić w armii zapal do zemsty, a skoro spostrzeżono, że taka wystawa zamiast podnieść, przygnębiła ducha, chciano umyć ręce, na nas składając tę robotę. Mybyśmy w takim usposobieniu, — jak wyżej opisałem — mybyśmy się zabawiali wstrętnem znoszeniem trupów pod karczmę! i stawianiem ich jakby na urągowski śmierci, która każdego z nas w każdej godzinie spotkać mogła?! Nawet niepodobna postawić na nogi trupa świeżego, niestęzalego jeszcze. Widoczna więc, że dopiero nazajutrz ta ohydna wystawa urządzoną została.

Tehórznicki naglił do pochodu—mówiąc: „Może doścignemy armaty, jeżeli znów o jaką karczmę zawadzą! Naboje pewno nie wystrzelane; będzie nam śmieiej!”.

Stanęliśmy do szeregów i „*od lewego, rotami marsz!*” zrazu podwojonym krokiem, oglądając się po za siebie i na boki, żeby upatrzeć pozycję, nadającą się do obrony.

Co chwila ktoś się wyłącza i przykłada ucho do ziemi, czy nie posłyszysz turkotu armat, potem dogania. Z nadzwyczajną czujnością prawie półbiegiem uszliśmy przeszło pół mili; ale zwolniliśmy kroku, skoro się pokazało, że dla tak drobnego oddziału dosyć gęsto znajdują się obok drogi pozycye obronne i tam gdzie dosięgną kartacze, sięgną na odwet i kulki karabinowe. Przytem z naszych 60 naboji spotrzebowaliśmy zaledwie cztery do pięciu.

Zresztą—takeśmy rozmowali,—jeżeli generał Schlick zestawi niespodziankę, która go spotkała na górze przed Koszycami, z przygodą swą pod Barcą za Koszycami i wyciągnie ztąd logiczne wnioski, to wyprawionej za nami pogoni, nie pozwoli galopem nas ścigać, ale każe z należyłą ostrożnością powoli za nami postępować — a w takim razie nas nigdy nie doścignie. To rozpamiętywanie tak nas uspokoiło, że już o posileniu zaczęliśmy myśleć. Zapewne i generał Schlick nieinaczej rzecz rozważył, bo kartaczów za nami nie wysłał, a nawet sam przez całe dwa tygodnie z Koszyc się nie wychylił; do powodów której to zwłoki zapewne policzyć należy i tę nieudaną defiladę przed zwłokami majora Castiglioniego, otoczonego świtą ofiar potyczki pod Barcą.

Ta zwłoka dała Węgrom czas zebrać napowrót rozbitą armię, cokolwiek przeciwzyć w rzemieśle wojennem i znowu zastąpić drogę generałowi Schlickowi, a w dalszym ciągu wypadków udaremnić plan, podług którego generał Schlick miał zastąpić drogę cofającej się przed marszałkiem Windischgrätze głównej armii węgierskiej; wziętą we trzy ognie zmusić do złożenia broni i w parę tygodni kampanię zakończyć.—Że Węgrzy te skutki potyczki pod Barcą naprzód wyrachowali, dowodzą owacye, jakie nam wyprawiali w Miskolcu.

Czwartego, czy aż piątego dnia doszliśmy do Miskolca, bo nam się nie śpieszyło. Dobrze nam było, Węgrzy nas po drodze ugaszczali nie jak żołnierzy, ale jak serdecznych przyjaciół. Rozbitki chciały się do nas przyłączać, aleśmy ich nie przyj-

mowali. Syci, winem zagrzani, naweteśmy się umyślnie spóźniali, żeby się doczekać przedniej straży generała Schlicka, skoro do porażenia Austryaka potrzeba tylko kilka naboí wystrzelić. Wzięty pod Barcą jeniec już dawno przed nami był w Miskolecu, bo go na podwodach Suryń dostawił.

Zbliżając się do Miskoleca widzimy wychodzącą z miasta procesyę. Cmentarza nigdzie nie ma—to nie pogrzeb. Już naprzód układamy program, jak ją mamy mijać, bo dowodzący nami pułkownik Tchórnicki z pieszej komendy nie wiele po nad: „*Tuj—Cel i Pal*” zna—nawet często mu się wypowie „*Trójkami*” zamiast „*Rotami*.”

„Zejdziemy na lewo i ściągniemy karabiny z ramion, ale to trzeba razem zrobić”—tak rozumował nasz dowódca.

Był któryś, co wiedział komendę na ten ruch;

„*W ramie — broń!*—potem—*Na ramie—broń!*”

Pułkownik powtórzył tę komendę — karabiny posłuchały i razem się te ruchy odbyły.

— Jak spotkamy księdza pod baldachimem, wtedy „*Formuj się*” (to znane) przystaniemy frontem do niego w ściśnionych szeregach i sprezentujemy broń—nie będziemy zdejmowali czapek.

Tu już nie o komendę — bo znana — ale rozchodzi się o samo prezentowanie. Nikt z nas dotąd nie prezentował broni; więc, maszerując, probujemy pojedynczo tego manewru z karabinem.

Ale czegoż to te chorągwie w procesyi tak się pochylają ku nam i znów się prostują, to znów zniżają—z początku jakoś niesfornie, a teraz razem jakby na komendę. Zbliżamy się—już mamy usta-

pić na lewo, a tu procesya jak nie wrzaśnie: „*Elien a lendiel*“ a chorągwiami w kółko wieją.

Musieliśmy się zatrzymać i wysłuchać oracyi, z której ani słówka nie rozumieliśmy. Otoczyli nas, wzięli pomiędzy chorągwie i prowadzą do miasta.

Dziwacznie wyglądała nasza niejednostajna drużyna z pośród takiej uroczystości. Czapki tylko (krakowskie, rogatywki, których był zapas gotowy) i karabiny były jednakie, ubrania zaś najrozmaitsze. Pułkownik i niektórzy z jego gwardzistów przybyli w mundurach i te zatrzymali; reszta w czamarkach, paltotach, kubraczkach: jak kto przybył z kraju. Były i ładownice różnego kalibru, a najwięcej torb płóciennych. Jedni w torebkach skórzanych podróżnych, inni w kieszeniach nosili naboje.

Jakiś wojskowy rozmawiając po niemiecku z Tehórnickim zrobił uwagę, że nieprzystoi, aby tak bohaterski oddział wkraczał do miasta tak potulnie i nakłonił go do zdobycia pałacza. To i na nas wkładało obowiązek, żeby przybrać postawy więcej okazałe. Poprawiamy czapki, karabiny na ramieniu, równamy, prostujemy się, ujednostajniamy krok; maszerujemy po wojskowemu, ale rotami, bo niewprawni do zmieniania porządku w marszu—w ciasnocie otaczającej nas procesyi moglibyśmy się pomieszać, zresztą idąc czwórkami wydaliłyśmy się jeszcze mniejszą odrobiną.

Wnet jednak ta sztywność okazała się niezgodną z otaczającą nas serdecznością. Tehórnicki schował pałasz, ustrój marszowy rozluźnili mięszają-

cy się pomiędzy nas i zapraszający na kwatery do siebie obywatele, nawet kobiety.

Myśmy też nie od tego, żeby skończyć tę żenującą nas paradę.

Zanim doszliśmy do ratusza rozerwali nas na kwatery. Tam znów bronić się musieliśmy przed winem tak, jak pod Barcą broniliśmy się przed konnicą austryacką.

*R. G.*

K O N I E C.



## SPIS RZECZY.

---

	<i>Str.</i>
Pamiętnik J. Łukomskiego, oficera poznań- skiego wojska polskiego . . . . .	5
Opowiadania Niemca o r. 1848:	
Amazonki . . . . .	51
Dzwony . . . . .	61
We dwa ognie . . . . .	71
Dwa typy. . . . .	79
Golgota i Gehenna . . . . .	87
Zwycięzcy . . . . .	95
Polacy w powstaniu węgierskiem 1848 roku. (Potyczka pod Barcą w jesieni 1848. . . . .)	103



e. 1440  

---

2870



## WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

**Rok 1904.**

Tom.		CENA	
		w opr. brosz. kop.	kop.
357.	Guy de Maupassant. NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	Emil Tardieu. ZNUDZENIE. Studium psychologiczne w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa	1.35	1.20
359.	M. A. Szimaczek. OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360, 361.	Deotyma. POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM	80	50

Tom.

CENA  
w opr. brosz.  
kop. kop.

## Rok 1905.

362, 363, 364. <b>Gabryela Zapolska.</b> SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80	1.50
365. <b>Helena Keller.</b> HISTORIA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	4	25
366, 367. <b>G. Flaubert.</b> SALAMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369. <b>T. Jaroszyński.</b> CHIMERA. Z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370. <b>H. Lichtenberger.</b> FR. NIETZSHE I JEGO FILOZOFIA. Tł. I. Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373. <b>M. Rodziewiczówna.</b> KLEJNOT. Z przedmową H. Gallego	1.20	75
374. <b>W. Marrene Morzkowska.</b> CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedmową H. Gallego	1.20	75
375, 376. <b>Kenijro Tokutomi.</b> NAMI-KO. Z japońskiego tłómaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węsławska	80	50
377. <b>Cr. Th. Zell.</b> CZY ZWIERZĘ NIE MA ROZSĄDKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
388, 379, 380, 381. <b>Teodor Jeske-Choiński.</b> GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	2.00
382. <b>Booker T. Washington.</b> AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
383, 384, 385, 386. <b>Z. Kaczkowski.</b> ROZBITEK. Powieść z przedm. Wł. Jabłonowskiego	80	50
387, 388. <b>F. de Roberto.</b> ZŁUDZENIA. Przekład z włoskiego oryginału, przez W. E. Z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
389, 390. <b>Alexander Kraushar.</b> DWA SZKICE HISTORYCZNE z czasów Stanisława Augusta	80	50
391, 392. <b>M. Rodziewiczówna.</b> JERYCHONKA. Powieść	80	50
393. <b>K. Wagner.</b> PROSTOTA W ŻYCIU	40	25

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
394.	<b>Vincente Biasco Ibanez.</b> RUDERA. Powieść, przełożyła z hiszpańskiego Alina Swiderska	40	25
395.	<b>Villiam Blake-Odggers.</b> ANGIELSKI SAMORZĄD MIEJSCOWY. Spolszczył Wojciech Szukiewicz	40	25
396.	<b>W. Gomulicki.</b> BRYLANTOWA STRZAŁA i inne nowele	40	25
397,	<b>398. Piotr Loti.</b> INDYE. W przekładzie Józefa Jankowskiego	80	50
399,	<b>400. H. Taine.</b> ŻYWOT I MYŚLI p. F. T. GRAINDORGE. Przełożyli z francuskiego A. K. M., z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
401,	<b>402. M. Rodziewiczówna.</b> NA FALI, powieść	80	50
403.	<b>Roman Pleniewicz.</b> MIKOŁAJA REYA Z NAGŁOWIC ETYKA. 1505—1905	40	25
404,	<b>405. M. Czerny.</b> ODŁOGIEM	80	50
406,	<b>407, 408. Selma Lagerlöf.</b> GÖSTA BERLING ze szwedzkiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa	120	75
409,	<b>410, 411; 412. Bennet Burleigh.</b> Korespondent wojenny „London Daily Telegraph“. PAŃSTWO WSCHODU CZYLI WOJNA JAPOŃSKOROSYJSKA 1904—1905. Przekład Emilii Węśławskiej	160	100

### Rok 1906.

413.	<b>Gen. Roman Sołtyk.</b> KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane)	30	25
414,	<b>415. Berta bar. Sutner.</b> DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	<b>General kwatermistrz de Pistor.</b> PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417,	<b>418, 419. Sir Edward Buiwer Lytton.</b> ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75

Tom.		CENA	
		w opr.	brosz. kop. kop.
420, 421.	<b>Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE.</b> Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422.	<b>W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA,</b> z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425.	<b>DRUGI ROZBIÓR POLSKI.</b> Z pamiętników Sieversa	80	50
426, 427.	<b>OPOWIADANIA CZECHOWA</b> tłóm. T. K.	80	50
428.	<b>LARIK. J. Gadomski</b>	40	25
429.	<b>WŁÓCZĘGA W TRÓJKE.</b> Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432.	<b>Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT.</b> Powieść z czasów Stanisława Augusta	1,20	75
433.	<b>Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE.</b> Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	<b>Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBĄ.</b> Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	<b>NEWROZA REWOLUCYJNA,</b> według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436.	<b>Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA.</b> Opowiadanie	40	25
437.	<b>Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA.</b> (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458.	<b>Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH.</b> Przekład z rosyjskiego	3,20	2,00
440.	<b>Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE.</b> Studium powieściowe	40	25
443.	<b>J. Scher. Z KRWAWYCH DNI.</b> (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447.	<b>Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI.</b> Przekład M. Łaganowskiej	80	50

Tom.	CENA	
	w opr. brosz	
	kop.	kop.
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450. Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SY- NÓW, przekł. E. Węstawskiej	40	25
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZ- NY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456. Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Prze- łożył z francuskiego Zygmunta Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50

---

INSTYTUT  
 BADAŃ LITERACKICH PAN  
 BIBLIOTEKA  
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
 Tel. 28-68-63









K

896